Rok IV. Lwów, dnia 1 lutego 1898. Nr. 3.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

BEZ ZŁUDZEŃ.

Przyznać trzeba, że system polityczny rządu pruskiego w stosunku do ludności polskiej był zawsze, zwłaszcza zaś w ostatnich 50 latach stanowczym i konsekwentnym. Wszyscy nasi myśliciele i mężowie polityczni, którzy się nad tym stosunkiem poważnie zastanawiali, jednozgodnie twierdzili i twierdzą, że pomiędzy tradycyami i celami polityki pruskiej a naszemi dążeniami narodowemi nie może być kompromisu. Złudzenia — rzecz dziwna — żywili tylko, i być może dziś nawet żywią, t. zw. politycy praktyczni, w gruncie rzeczy marzyciele i *sui generis* doktrynerzy, którzy za pomocą wpływów osobistych i intryg dworskich, a raczej przedpokojowych zwalczać chcieli potęgę tradycyi państwowej i dążeń narodowych. Zdrowa myśl polityczna społeczeństwa polskiego protestowała zawsze przeciw tym szkodliwym dla świadomości i odporności naszej złudzeniom.

Rozprawy w sejmie z powodu powiększenia funduszu komisyi kolonizacyjnej, aż nadto wyjaśniające system polityki pruskiej, zbiegły się niemal ze zwycięztwem ruchu ludowego, zwycięztwem, które ma w dzisiejszych warunkach niezwykle doniosłe znaczenie, bo wyraźnie i stanowczo stosunek ludności polskiej do rządu pruskiego zaznacza i według tego stosunku zadania polityki narodowej określa.

Główny organ ruchu ludowego na kilka dni przed rozprawami w sejmie pruskim bardzo jasno stosunek rządu do ludności polskiej przedstawił, wykazując dowodnie, że »ucisk narodowości polskiej leży w naturze, w grze politycznych interesów państwa pruskiego; ucisk ten jest historycznie i politycznie ściśle związany z rozwojem tegoż państwa i dopóki państwo pruskie będzie istniało, ucisk nie ustanie. Żywioł polski w zaborze pruskim jako odrębny krwią, językiem, obyczajem i tradycyą, odrębny także w znacznej części wiarą, będzie stał idei państwowej Prus zawsze na zawadzie i polityka Prus będzie dążyła w interesie swej idei państwowej do usuwania żywiołu polskiego z swoich granic. Dąży ona do wyrównania różnic w Nadrenii, w zaanaktowanym Hanowerze, choć tam jest żywioł niemiecki, a miałaby zostawić zupełnie obcy i odrębny żywioł w swoim stanie przyrodzonym! My Polacy — z naszego polskiego stanowiska — możemy to nazywać bezwzględnością, brakiem zagwarantowanego równouprawnienia, możemy to nazywać uciskiem i strasznem prześladowaniem, to wcale ani Niemcom ani rządowi pruskiemu nie będzie przeszkadzało, że system, jaki się względem nas praktykuje, i rząd pruski i Niemcy będą uważali za konieczność polityczną, i że rząd pruski będzie sobie uważał za obowiązek tego a nie innego trzymać się systemu względem ludności polskiej«.

Niejednokrotnie mówili to samo inni publicyści i politycy, niedawno wymownie i przekonywająco wygłosił pogląd podobny p. Skarzyński nietylko w broszurze swej ale i w obronie na sądzie. W ostatnich zaś rozprawach jasno, aczkolwiek w formie dyplomatycznej, sam rząd pruski swój system polityczny w stosunku do ludności polskiej w tym duchu usprawiedliwiał i uzasadniał.

Projekt rządowy w sprawie powiększenia, właściwie podwojenia funduszu komisyi kolonizacyjnej przytacza następujące powody:

»Doświadczenia ostatniego dziesięciolecia potwierdzają konieczność dalszego postępowania w duchu ustawy z dnia 26 kwietnia 1886. Stosunek siły pomiędzy obiema narodowościami przesuwa się stale na niekorzyść Niemców a po wsiach widocznym jest znaczny wzrost polskiej drobnej własności ziemskiej. Ale i po miastach daje się pod wielu względami uczuwać przewaga narodowości polskiej wśród warstw średnich, ścisłe odgraniczenie się tychże warstw od ludności niemieckiej i zużytkowywanie inteligencyi, zdobytej dzięki niemieckiej kulturze, dla celów narodowo-polskich.

»Te odrębne tendencye i usiłowania doprowadziły do zaostrzenia różnic i ostatecznie spowodowały takie zachowanie się Polaków w słowie i piśmie, że skutki jego widoczne są w uciskaniu niemieckiej ludności pod względem socyalnym i ekonomicznym. Przeciw takiemu rozwojowi stosunków musi rząd państwowy wystąpić stanowczo w obronie zagrożonych przez to Niemców, oraz w interesie utrzymania pokoju i dobrobytu obywateli państwowych«.

»Fundusz pierwotnie uchwalony — tak brzmią dalej motywa — okazuje się wręcz niedostatecznym, jeżeli mają być osiągnięte cele ustawy w kierunku, jakiego wymaga ukształtowanie się stosunków w prowincyach kolonizowanych i jeżeli żywioł niemiecki ma w nich doznać silnego wzmocnienia«.

Ministrowie, jako przedstawiciele systemu rządowego i ci posłowie, którzy uchodzić mogą za przedstawicieli tradycyi pruskiej i ducha pruskiego, dobitniej jeszcze określili i podkreślili motywy polityczne projektu.

Kanclerz, ks. Hohenlohe wyznał, że »mówienie prawdy w oczy Polakom, z którymi łączą go węzły przyjaźni, a nawet pokrewieństwa«, sprawia mu przykrość, ale tam, »gdzie wchodzą w grę interesy monarchii pruskiej — nie zna kompromisu«.

»Co się tyczy politycznej strony ustawy — powiedział — faktem jest, że w narodowo-mieszanych dzielnicach narodowość polska rozwija się kosztem niemieckiej. Temu rozwojowi zatamować drogę i popierać niemczyznę — oto cel, jaki ma projekt rządowy«. Rząd pruski troszczył się zawsze o dobro duchowe i materyalne prowincyj polskich i w zamian za to ma

prawo żądać od Polaków, »żeby swe obowiązki jako Prusacy spełniali, żeby uważali się i czuli wiernymi poddanymi króla pruskiego«. »Wiem, dodał, że nie mało jest już Polaków, przejętych temi uczuciami, ale z drugiej strony występuje wśród nich silne dążenie, zmierzające do wywołania uczuć wrogich Niemcom. Przeciw tego rodzaju propagandzie występujemy, gdyż wytwarza ona niemożliwe, groźne dla obu narodowości stosunki«.

»Polacy jeszcze ciągle oddają się nadziejom, które się nie mogą urzeczywistnić, czy to nadziejom oderwania dzielnic polskich od Prus, czy nadziejom pozyskania większej samodzielności. Dla takich tendencyi nie ma w Prusach gruntu i nigdy go nie będzie. Oderwanie prowincyi poznańskiej, lub choćby tylko rozluźnienie stosunku jej do Prus zagrażałoby egzystencyi państwa pruskiego. Prowincyi poznańskiej nie możemy oddać i nie oddamy jej nigdy, przenigdy. Ks. Bismark miał słuszność, gdy swego czasu powiedział: Musimy mieć wolną drogę z Królewca do Wrocławia«.

Stary kanclerz, mówiąc o nadziejach Polaków, nie wymienił trzeciej ewentualności, której dziś państwo pruskie bodaj więcej się obawia, niż nawet utworzenia samodzielnego państwa polskiego — mianowicie oderwania prowincyi wschodnich przez Rosyę. I my o tej możliwości mówić nie będziemy, zaznaczymy tylko, że społeczeństwo polskie w zaborze pruskim nie zapala się wprawdzie do niej, ale już coraz mniej się jej obawia. Polityka pruska od kilkunastu lat już tę możliwość przewiduje i poważnie się z nią liczy. Wytężenie akcyi germanizacyjnej ma przedewszystkiem na celu zapobieżenie tej możliwości. »Zygzakowata« polityka osobista cesarza Wilhelma II spróbowała na chwilę użycia innych środków zapobiegawczych, ale bankructwo akcyi ugodowej dowiodło raz jeszcze, że tradycya pruska i rutyna systemu państwowego działają z siłą żywiołową i nie dopuszczają żadnego uchylenia od kierunku, w którym od dwóch wieków idą, w którym iść muszą. Złamały by one nietylko wiotką, komiczną buńczucznością pokrywającą swoją słabość *regis voluntatem* Wilhelma II, ale nawet żelazny upór samowładnego despoty w rodzaju Bismarka, gdyby zechciał prowadzić politykę, niezgodną z ich dążeniami.

Mowę swoją zakończył książę Hohenlohe znamiennemi słowami: »Przypominam Polakom wyrazenie francuskiego poety: *Quittez le long espoir et la vaste pensée.* Jeżeli Polacy to uczynią, jeżeli wyrzekną się nadziei, która nigdy ziścić się nie może, jeżeli zostaną *uczciwymi Prusakami*, to wtedy porozumiemy się z nimi i żyć będziemy zgodnie«.

Minister rolnictwa baron Hammerstein uwydatnił ten punkt motywów projektu, który mowi o »rozwoju polskiej narodowości w stanie średnim«. Rząd pruski musi obecnie zwracać baczną uwagę na ruch narodowy polski. Dawniej ten ruch, kierowany przez szlachtę i duchowieństwo, miał wyłącznie charakter narodowy, ale nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa, bo nie był antypaństwowym, antymonarchicznym. Ale dziś ruch ten wstrząsa masami ludu, ster jego ujęły warstwy średnie i nadały mu charakter demokratyczny, wrogi monarchii pruskiej. Ruch polski szerzy się w prowincyach, gdzie go dawniej wcale nie było, wciąga w swe koło Mazurów, Kaszubów i Litwinów, propaganda polska istnieje nawet w ziemiach czysto-niemieckich, n. p. w Westfalii. Ma się rozumieć, że przeciw takiemu ruchowi musi rząd energicznie wystąpić. »Zresztą, dodał minister, rząd nie chce tępić Polaków, jak to już ks. Hohenlohe powiedział. Taki zarzut stanowczo odpieram. Zaprzeczam też, jakoby projekt ten był wymierzony przeciwko religii katolickiej. Stosunki w dzielnicach polskich są naturalnym wynikiem zachowania się katolików, pokazuje się, że ruch polski jest tak silny, iż porywa za sobą duchowieństwo katolickie. Obce narodowości, które mieszkają na niemieckiej ziemi i pod niemieckim dachem, muszą się niemczyźnie podporządkować; wtedy też i ich religia i ich odrębności narodowe będziemy ochraniali i będzie panowała zgoda pomiędzy obu narodowościami«.

Rząd działa w myśl polityki Fryderyka Wielkiego, której zasadą naczelną było wzmocnienie niemczyzny na kresach. »To jest także ideałem obecnie panującego cesarza«. Od tego zadania rząd pruski nie odstąpi, oszczędzając odrębności narodowe, o ile są one uprawnione, w granicach, które nakreślił książę Hohenlohe. »Że Bóg tego chce — w to ufam i tego sobie życzę«.

Minister finansów Miquel, odpowiadając na zarzuty kilku mowców, (katolików i postępowców), potępiających projekt, zaznaczył, że chociażby kolonizacya nie dawała dziś rezultatów pomyślnych, rząd pruski »może cierpliwie poczekać, spieszyć się nie potrzebuje«. Od lat kilkudziesięciu, zdaniem ministra — Polacy coraz bardziej wyodrębniają się od Niemców. »Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć. Walka idzie dziś tak daleko, że Polacy wprost bojkotują niemieckiego lekarza, nawet niemiecką aptekę. A przypatrzcie się panowie tylko prasie polskiej. Wieje z niej wyraźny wstręt, żeby się ludność polska zlała z państwem pruskiem; darujcie mi panowie to wyrażenie, — ale tam ujawnia się *dolus eventualis*, t. j. podstęp liczący na możliwość oderwania się od Prus. Nie tracą nadziei, że może jeszcze przyjść do przywrócenia polskiego królestwa, a ten prąd jest tak silny, że nawet na rozsądnym Polaku wywiera pewien rodzaj terroryzmu«.

»My żądamy od Polaków — oświadczył p. Miquel, żeby szczerze uznali, że są niepowrotnie z państwem pruskiem złączeni. Tymczasem cała działalność Polaków zmierza do wyzwolenia się z pod panowania pruskiego, a utrata Poznańskiego oznaczała by dla Prus upadek i ruinę«. »My nie prześladujemy Polaków, jak inni, tylko zwalczamy agitacyę wielkopolską. Pokazaliby im radykaliści we Francyi, gdyby się pod ich rządami znajdowali«.

Rząd nie ma zamiaru wydzierać Polakom języka, bo historya poucza, że nikt nie może odebrać ludowi języka, jeżeli on sam mowie swej się nie sprzeniewierzy. Ale nie może rząd dopuścić, żeby język polski wyodrębniał Polaków od Niemców. »Chociaż Polacy nadużywają swego języka do celów agitacyjnych, n. p. na zebraniach publicznych, rząd *na razie* patrzy na to spokojnie«. Łatwo zrozumieć, że naród, mający taką przeszłość jak Polacy, marzy o odzyskaniu niepodległości, ale to marzenie — zapewnia p. Miquel, nigdy się nie spełni. »Gdyby Polacy wyrzekli się agitacyi narodowej, możnaby inaczej z nimi pomówić, ponieważ jednak wyrzec się jej nie chcą, zastosujemy względem nich jeszcze cały szereg środków, nietylko represyjnych, ale także kulturalnych. Utworzymy czytelnie ludowe, przemysłowe szkoły uzupełniające, a nadto będziemy musieli bronić lekarzy i aptekarzy przed bojkotem«.

Centrum, zdaniem p. Miquela, powinno zrozumieć, że dążenia narodowe polskie mają charakter anty-państwowy. Rząd chętnie skorzystał by z pomocy katolickich Niemców w sprawie wzmocnienia niemczyzny na

kresach wschodnich, ale obawia się wpływu duchowieństwa polskiego. Wprawdzie arcybiskup Stablewski narodowych interesów polskich nie popiera, ale nie może dla kolonistów katolików sprowadzać księży niemieckich z innych dyecezyj.

Przemówień kilku posłów, występujących przeciw projektowi rządowemu streszczać nie będziemy, nie zawierają oni zresztą nic nowego, są wymownym ale bezskutecznym protestem przeciw polityce gwałcącej poczucie sprawiedliwości i wolność konstytucyjną. Natomiast zasługuje na wzmiankę mowa konserwatysty Heydebranda, który porównywał położenie Polaków w zaborze pruskim i w zaborze rosyjskim. Wprawdzie w zaborze austryackim mają Polacy prawa narodowe, ale rząd pruski nie pozwoli nigdy zrobić ze swych dzielnic polskich drugiej Galicyi, bo Prusy są i muszą być jednolitem państwem niemieckiem. »Mam bardzo wiele sympatyi — powiedział p. Heydebrand — dla sławnej przeszłości Polaków, my Niemcy nie zapomnieliśmy, że miecz polski zasłaniał nas przed najazdem barbarzyńców, dla rycerskości narodu polskiego mamy głębokie uznanie, ale nie możemy zmieniać wyroku historyi«. »Czegoż właściwie chcecie« — pyta p. Heydebrand? »Czy może chcecie utworzyć samodzielne państwo? Są pewne objawy, które to przypuszczenie potwierdzają, ale z tego nic nie będzie. Przebudźcie się z waszych snów i marzeń, stańcie na gruncie państwa pruskiego, bądźcie Prusakami, a znajdziecie szczęście i dobrobyt«.

Wszystkie te przemówienia w formie dosyć dyplomatycznej, ale stanowczo i jasno przedstawiają system polityki pruskiej, dążący, jak się wyraził poseł katolicki Im Walle, do wytępienia (*decapitatio*) ludności polskiej, do zgermanizowania jej pod względem politycznym. W każdej niemal mowie powtarza się zwrotka »wyrzeknijcie się dążeń narodowych, zostańcie Prusakami«.

Koło polskie wobec tych oświadczeń rządowych zajęło jedynie właściwą postawę: zaprotestowało przeciw projektowi i oświadczyło, że nie bierze udziału w obradach. Ks. Jażdżewski, który przemawiał w imieniu Koła, zaznaczył, że już w 1886 r. posłowie polscy protestowali przeciw ustawie kolonizacyjnej, gwałcącej zagwarantowane prawa oraz postanowienia konstytucyi pruskiej i niemieckiej i wykazali, że ta ustawa przyczynia się tylko do zwaśnienia narodowości i rozbudzenia nienawiści religijnej.

»I dziś stoimy na gruncie tych samych zapatrywań.

»Rezultaty, jakie dziś okazały się wynikiem rzeczonego projektu, wykazują, że dzięki sposobom, jakimi się rząd w wykonywaniu prawa kolonizacyjnego posługiwał, przyszło do zaostrzenia stosunków między narodowościami, prócz tego wzrosła zastraszająco emigracya między ludem polskim, wypędzonym z ojczystego zagona, a niezmiernie zmniejszyła się w oczach ludności polskiej powaga rządu, wiara w jego dobre chęci i zamiary.

»Wobec tych zastraszających faktów staraliśmy się nakłonić królewski rząd do zniesienia komisyi kolonizacyjnej przez powtarzane z roku na rok odnośne wnioski. Działaliśmy tak zarówne w interesie państwa, jak i zgodnego pożycia obudwóch narodowości.

»Królewski rząd odpowiada nam na to w ten sposób, że stawia dziś wniosek o powiększenie poświęconych na cel kolonizacyi milionów, do czego i nasze prowincye przyczynić się muszą — a przytem nieprawnie i jednostronnie oskarża całą ludność polską o naruszenie spokoju publicznego. W ten sposób daje nam rząd dowód, że ludność polska nie ma do czynienia z rządem ojcowskim, lecz z rządem, hołdującym systemowi bezwzględnej germanizacyi, zaostrzenia i jątrzenia stosunków narodowościowych i religijnych, a zatem depcącym wszelkie podstawy moralności i prawa, które uszanować powinien rząd rozumny w cywilizowanym państwie.

»Wobec takich faktów ponawiamy niniejszem wyraźnie i uroczyście nasz protest przeciw materyalnemu i formalnemu uzasadnieniu ustawy z 26 kwietnia 1886 roku, która, według naszych zapatrywań, nie da się pogodzić z przepisami konstytucyi.

»Zanosimy protest przeciw zamierzonemu obostrzeniu jej przepisów przez przeznaczanie na ten cel nowych funduszów państwowych, i jeżeli nie zmuszą nas do tego szczególne powody, nie będziemy brali udziału w obradach nad tym projektem rządowym«.

Koło polskie powstrzymało się w tym proteście od zbijania zarzutów i od zapewnień o lojalności względem rządu pruskiego, które ubliżałyby tylko godności narodowej. W oświadczaniu ks. Jeżdżewskiego widzimy właściwe pojmowanie charakteru i celów polityki pruskiej.

»Czwartkowe rozprawy — pisze *Orędownik* — przekonywają nas ponownie, że idzie — siła złego na jednego! Jest nas w obrębie granic pruskich jeszcze nie całe 4 miliony i to prawie wyłącznie w warstwach średnich i niższych. To hufiec słaby wobec potęgi Prus! Czwartkowe wszakże rozprawy nie miną bez pewnego skutku moralnego, jeżeli w tym małym hufcu wzbudzą przekonanie, że w tej walce pardonu nie dają!

»Takie przekonanie w walce daje często potrzebną siłę do przebicia się. Nie wątpimy, że czwartkowe rozprawy w parlamencie pobudzą do zbierania wszystkich sił — tych, którzy wierzą w przyszłość ludu w zaborze pruskim i umieją na nią pracować«.

»Jeżeli tak istotnie jest z owem wzmaganiem się żywiołu polskiego a ustępowaniem niemieckiego, jak Niemcy w sejmie dowodzili, to objaw ten da się wytłomaczyć jedynie siłami elementarnemi, puszczonemi w ruch pod wpływem przeobrażeń ekonomicznych i socyalnych. Czy te siły elementarne dadzą się środkami politycznymi tak ścisnąć, jak sobie tego Niemcy życzą, to dopiero pokaże czas z posagiem owych drugich 100 milionów. Dzieje uczą, że zwalczanie sił elementarnych środkami politycznymi zwykle się nie udaje«.

Nietylko zwykle, ale zawsze skuteczność środków politycznych okazuje się zawodną wobec działania sił żywiołowych, jeżeli tem działaniem kieruje wola świadoma. Od 1000 lat zalew niemiecki systematycznie podrywał nasze dziedziny, ale teraz cofać się już zaczyna i tylko środkami sztucznymi utrzymać może swój *Besitzstand*. Potęga państwa pruskiego i kultury niemieckiej przerażać może tych tylko, którzy w przyszłości patrzeć nie umieją, a przeszłości nie pamiętają.

Zapewne, w porównaniu z potęgą Niemiec, lub chociażby tylko Prus nietylko dziś jest lecz i w bliskiej przyszłości będzie nasza siła narodowa słabym hufcem. Ale rozwija się i rozszerza przyrostem naturalnym ludności, przyrostem mienia i sił duchowych, przyrostem świadomości narodowej i społecznej nietylko w tych masach ludu, które polskiemi zawsze były, lecz i w tych, które teraz dopiero przyznawać się zaczynają do polskości, lub jeszcze poczucia tego nie mają. W ciągu ostatnich trzydziestu lat siła narodowości polskiej co najmniej

podwoiła się wskutek przybytku tych uświadomionych lub dopiero uświadamiających się żywiołów. Zresztą ta siła polska w zaborze pruskim, jakkolwiek wskutek warunków politycznych odosobniona, jest częścią żywej całości narodowej. To straż przednia wysłana na bój niebezpieczny, ale nie na śmierć i zatracenie, i nie pozbawiona nadziei jakich takich posiłków i odsieczy w razie potrzeby. Nie takie potęgi, jak niemiecka, przemijały i w gruzy się rozsypywały, ale dzieje nie zapisały nigdy zagłady narodu, który sił żywotnych nie utracił. A nasza żywotność nie słabnąca, ale owszem rosnąca w okresie stuletniej niewoli jest tak silną i twardą, że żaden naród — z dumą to powiedzieć możemy — nie wykazał równej w warunkach podobnych.

Kto przed sześćdziesięciu laty mógł przewidzieć odrodzenie życia polskiego na Górnym Śląsku, ruch narodowy wśród Mazurów, bujny wzrost świadomości politycznej ludu w Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich, obfity wylew wychodztwa naszego do Niemiec? Nawet w głowach entuzyastów nie świtały takie marzenia, które dziś są faktami spełnionymi.

Niewątpliwie »wolna droga od Królewca do Wrocławia« przez Poznań jest dziś dla państwa pruskiego niezbędną i rozumiemy dobrze, że chce ją ono zabezpieczyć. Ale nie jest zbyt śmiałem marzeniem przypuszczenie, że za drugie sześćdziesiąt lat zabezpieczanie tej drogi okaże się już niepotrzebnem, skoro nasz ruch narodowy oskrzydli i Wrocław i Królewiec. Nie zapędzając się w przewidywania dalekiej przyszłości, i dziś i jutro strzedz się musimy przedewszystkiem szkodliwego złudzenia, że interesy i dążenia narodowe ludności polskiej pogodzić się dadzą w jakikolwiek sposób z tradycyą i zadaniami realnemi polityki pruskiej. Nasza polityka narodowa w zaborze pruskim może zmieniać swoją taktykę stosownie do okoliczności i warunków działania, ale zawsze powinna być świadomą tego, że ani po jednej, ani po drugiej stronie nie ma gruntu dla kompromisu, że tam »nie dają pardonu«, a my go nie prosimy i prosić nie potrzebujemy.

Z CAŁEJ POLSKI.

Zwycięztwo ruchu ludowego i zasady samodzielności wyborców w zaborze pruskim. P. Cegielski zrzeka się mandatu. Kłopoty ugodowców warszawskich. Niepotrzebny wydatek polityczny. Kilka uwag z powodu wniosku p. Kramarczyka.

Podnieśliśmy już w poprzednim numerze znaczenie rezolucyi, uchwalonej jednomyślnie w Poznaniu na zebraniu, zwołanem przez komitet wyborczy, w którym zasiadają przeważnie przedstawiciele t. zw. partyi dworskiej. Rezolucya wyrażała żądanie, żeby poseł, p. Cegielski głosował przeciw projektowi rządowemu w sprawie marynarki, a gdyby Koło inaczej postanowiło — żeby się wstrzymał od głosowania. Ten znamienny objaw opinii publicznej nie był faktem wyjątkowym. Wyborcy powiatu kartuzkiego (w Prusiech) dobitniej jeszcze zaznaczyli swoje stanowisko polityczne w liście do posła p. Janty-Połczyńskiego. Oto ten list, podpisany przez członków komitetu wyborczego.

»Niżej podpisany komitet wyborczy powiatu kartużkiego, nie mogąc zdobyć się na zebranie wyborców powiatu, w zastępstwie tychże wyborców zanosi do Wgo Pana Dobrodzieja jako posła swego do parlamentu usilną prośbę, by nie głosował za wydatkiem na marynarkę, gdyż przez to powstałby rozłam między ludem z powiatu.

»Zdecydowani jesteśmy na wszystko. Obiecanki żadne nie zdolne nas złudzić, bo dążności rządu zanadto widoczne, a i groźby wszelkie nas nie zastraszą. Nas jedynie jeszcze ratować może przy pomocy boskiej własna siła i jedność, a o te przy przeciwnem głosowaniu się obawiamy«.

Opinia publiczna tak zgodnie i wyraźnie wypowiedziała się, że Koło polskie nie mogło mieć wątpliwości co do jej nastroju. Sprawa postawiona została ostro i stanowczo, głosowanie Koła za projektem, uważane słusznie jako zwrot ku polityce ugodowej, zerwało by zupełnie nadwątloną łączność jego z wyborcami.

Wobec takiej jednomyślności społeczeństwa posłowie polscy w parlamencie muszą się woli ogółu poddać. Nawet *Dziennik poznański* nie przypuszcza, żeby inaczej postąpili.

P. Cegielski, obrażony na wyborców, ogłosił w dziennikach list, w którym oświadcza, że zrzeka się mandatu. Usunięcie się tego posła jest z wielu względów pożądanem, przedewszystkiem zaś z tego powodu, że ułatwia kompromis stronnictwa ruchu ludowego, z grupą inteligencyi, przeciwnej polityce ugodowej i usposobionej demokratycznie, oraz że usunie prawdopodobnie możliwość rozbicia się wyborców polskich w Poznaniu na dwie grupy, zwalczające się wzajemnie.

Zrzeczenie się mandatu przez p. Cegielskiego jest widomym znakiem zwycięztwa ruchu ludowego nad polityką ugodową, ale i zwycięztwa zasady, że poseł jest wykonawcą woli wyborców i z ich zdaniem powinien się zawsze liczyć. Nie chodzi tu wcale, jak przeciwnicy samodzielności politycznej twierdzą, o t. zw. *mandat imperatif*. Nikt nie żąda, żeby poseł w każdej sprawie poszczególnej pytał o zdanie wyborców.

Wyborcy żądają tylko, żeby posłowie nie prowadzili polityki, przeciwnej dążeniom ogółu, żeby nie brali na siebie w imieniu społeczeństwa zobowiązań, których to społeczeństwo przyjąć nie chce i nie może.

Dla p. Cegielskiego i jego przyjaciół politycznych życzenia wyborców mogą być tylko — jak powiada w swym liście — »cennym materyałem« zaś »główną dyrektywą« postępowania jest jego własne przekonanie. Żądanie, *respective* rozkaz wyborców dla takiego posła, który robi zaszczyt plebsowi, że raczy go przedstawiać w Berlinie — jest po prostu ubliżającem.

Wprawdzie p. Cegielski, zaznaczając, że rezolucye, wyrażające żądania wyborców, ubliżają godności posła, oświadcza, iż nie z tego powodu zrzeka się mandatu, ale ponieważ nie chce aby na nim »ciążył nawet cień podejrzenia iż swoją osobą przyczynia się do przedłużania waśni domowej i wywołuje gorszące sceny, jakich Poznań był widownią przed pięciu laty«. Ale tak czy owak ustąpienie p. Cegielskiego z widowni publicznej jest powtórnem stwierdzeniem bankructwa polityki ugodowej, której był on jednym z głównych filarów. Po »admirale« Kościelskim — p. szambelan Cegielski. Na kogoż teraz kolej — chyba na p. Komierowskiego, albo na ks. Jażdżewskiego. W każdym razie: *vivat sequens!*

Ma się rozumieć, *Dziennik* i *Kuryer poznański* żywiły przez jakiś czas przyjemną nadzieję, że p. szambelan da się uprosić i postanowienie zrzeczenia się mandatu cofnie. »On — woła *Dziennik*, który w parlamencie tak poważne zajął stanowisko, że go m i ę d z y s e k r e t a r z y (!) powołano... dziś doprowadzony do tego przez rodaków, że wypowiada służbę, cofa się z obywatelskiego stanowiska pierwszorzędnego«. *Kuryer* wchodzi odrazu *in medias res.* »Komitet tera-

źniejszy — pisze — ma już nie jeden błąd na sumieniu, popełnił mianowicie taki błąd względem p. szamcelana Cegielskiego przez ostatnie swe wystąpienie. Niechże w ostatniej chwili zbierze ostatnie siły i naprawi wszystko przez to, że uprosi p. szambelana Cegielskiego, aby pozostał na stanowisku, na którem zawsze występował z takim taktem i powodzeniem«.

Niestety, zbuntowany komitet wziął widocznie na kieł, bo nietylko nie poprosił p. Cegielskiego o przebaczenie i piastowanie nadal mandatu, ale na list obrażonego p. szambelana wystosował odpowiedź dosyć grzeczną i jednocześnie bardzo zimną i stanowczą.

1. Komitet na posiedzeniu swem w dniu 10. b. m. uznał powody, dla których JW. Pan poseł na walne zebranie wyborców przybyć nie mógł, za zupełnie uzasadnione i wystarczające, co też przewodniczący po zagajeniu walnego zebrania wyraźnie zaznaczył.

2. Komitet, przodkładając walnemu zebraniu rezolucyę z d. 12. b. m. był tego zapatrywania i dzisiaj go nie zmienia, że wyborcy mają prawo nietylko »prosić« ale i »żądać« od posła swego, aby w danym razie głosował w myśl wyborców.

3. Komitet wysoko ceniąc szlachetność pobudek, które JW. Pana posła skłoniły do oświadczenia, że nadal o mandat z Poznania nie będzie się ubiegał — akt ten do wiadomości przyjmuje.

W tym samym numerze *Dziennika poznańskiego*, w którym zamieszczono odpowiedź komitetu, znajdujemy na naczelnem miejscu wyjątek z »prywatnego« listu z Berlina:

»Myślę, iż nie popełnię niedyskrecyi, zapewniając, że dotąd nie słyszałem, żeby którykolwiek z naszych posłów przypuszczał ewentualność głosowania Koła za projektem rządowym o marynarce, a mianowicie za nowemi żądaniami, powiększającemi wydatki na flotę.

»Kto lub w czyim interesie szerzy plotki w kraju o intencyach i stanowisku naszej deputacyi, tego nie warto poszukiwać. Kto ma oczy ku widzeniu« i t. d.

Juści, kto ma oczy ku widzeniu, a głowę ku myśleniu, ten z łatwością wykombinuje, że po fatalnym przypadku p. Cegielskiego, żaden z posłów, dbających o mandat, »ewentualności głosowania Koła za projektem rządowym« przypuścić nie może.

Zaznaczyliśmy już pewien upadek ducha w obozie ugodowców warszawskich, który najłatwiej dostrzedz można w korespondencyach do pism galicyjskich i poznańskich. Wieje od nich dosyć silny prąd pesymizmu, starannie ukrywanego wprawdzie, ale widocznego pomimo to dla uważniejszego spostrzegacza. Skończyły się, nawet w *Kraju*, rozprawy programowe, a życie nie dostarcza żadnego materyału do snucia złudzeń politycznych. Korespondenci *Czasu* i *Dziennika poznańskiego* wytężają wszystkie siły swoich umysłów, sprawnych w mydłkowaniu politycznem, dla przekonania czytelników, że jednak w zaborze rosyjskim zmieniają się stosunki na korzyść naszą, że jednak »nowy kurs« w sferach petersburskich istnieje rzeczywiście. I oto w braku innych, poważniejszych faktów, dowiadujemy się, że w gubernii kieleckiej z rozporządzenia gubernatora umieszczono na drogowskazach napisy polskie obok rosyjskich, co ma dowodzić, że język polski odzyskuje stopniowo utracone prawo. Niezadługo dowiemy się może o nowej w tym rodzaju zdobyczy czy łasce n. p. o pozwoleniu umieszczenia napisów polskich na budynkach kolejowych, przeznaczonych »dla kobiet« i »dla mężczyzn«, bo nie każdemu zapewne wiadomo, że i do tych budynków za czasów Hurki zastosowano system bezwzględnej rusyfikacyi.

Poniekąd za koncesyę uważać można pozwolenie sprzedawania w sklepach monopolu rządowego wódki mocniejszej od normalnej, ogólno - rosyjskiej, mającej tylko 40 stopni. Jest to ustępstwo niewątpliwe dla narodowych gustów polskich, bo prawy Polak, jak dowodzi korespondent *Dziennika poznańskiego*, pije a raczej łyka niewielką ilość, ale mocnej wódki, Moskal zaś powoli nasyca swój organizm trunkiem, w znacznej ilości pochłanianym, więc musi używać wódki słabej.

Życzenia ugodowców i dawniej były bardzo skromne, ale teraz na określenie ich nawet zdrobniała forma tego przymiotnika nie wystarcza, innego zaś, odpowiedniego znaleźć nie mogę. W przewidywaniach oczekiwanych następstw pobytu ks. Imerytyńskiego w Petersburgu niema już wcale mowy o samorządzie ziemskim. Nie spodziewają się nawet w bliskiej przyszłości załatwiania pomyślnego sprawy samorządu miejskiego i pocieszają się tylko nadzieją, że może przynajmniej sprawa wynagrodzenia za propinacyę i uregulowania serwitutów będą ostatecznie rozstrzygnięte.

Kiedy Szuwałow zażądał od ugodowców przedstawienia memoryału, wykazującego najpilniejsze potrzeby kraju, na pierwszem miejscu swoich postulatów postawili, jak wiadomo, sprawę uregulowania serwitutów. Od tego się zaczęła i na tem skończy się zapewne akcya. ugodowa. Juściż i to można za zdobycz pozytywną uważać, ale chyba ci nawet, którzy z niej bezpośrednio skorzystają, przyznać będą musieli, że za drogo za nią zapłacono.

Nominacye noworoczne nie dają żadnej zachęty do marzeń ugodowych. Stary Delianow wypłatał naszym prorokom politycznym złośliwego figla, bo umarł, nie doczekawszy się dymisyi. Następca jego Aniczkow znany jest jako wróg Polaków. Skonfundowani prorocy czepili się nowego ministra wojny, generała Kuropatkina i gwałtem chcą zrobić z niego przedstawiciela »nowego kursu«. Nie zawadzi więc przypomnieć, że Kuropatkin, będąc naczelnikiem kraju zakaspijskiego, wydał przed kilkoma laty rozporządzenie, nakazujące usuwać Polaków z posad kolejowych.

Łatwiej już można zrozumieć zadowolenie ugodowców z powodu zamianowania generała Dragomirowa generał-gubernatorem kijowskim. Ten podobno jest człowiekiem ludzkim, o czem nietyle świadczą jego pisma i czyny, ile zamiłowanie do napojów gorących. W Rosyi ludzie, którzy lubią *pokutit'* (pohulać) wesoło, wyznają zwykle przekonania liberalne. Oto wszystko, co powiedzieć można o usposobieniu w danej chwili i nadziejach ugodowców warszawskich na podstawie korespondencyi do pism galicyjskich i poznańskich, oraz treści ostatnich numerów *Słowa* i *Kraju*. Te zaś informacye, które mam o nastroju opinii publicznej w zaborze rosyjskim, nie przeczą powyższym wywodom, owszem, poniekąd je potwierdzają. Człowiek bardzo poważny i poważany nawet w tych sferach, które politykę ugodową prowadzą, sformułował nam niedawno swój pogląd na obecne położenie i stan umysłów w sposób następujący: Jedynym rezultatem akcyi ugodowej jest powszechne dziś niemal przekonanie, że wszystkie te zmiany na lepsze w stosunkach miejscowych, które istotnie nastąpiły, byłyby dokonane bez tej akcyi z naszej strony. Innemi słowy, ponieśliśmy niepotrzebny zupełnie wydatek polityczny, nie mówiąc już o stratach pośrednich.

Ostatnie zarządzenia polityki pruskiej, jawnie przeciw Polakom skierowane, poruszyły trochę opinię publiczną w Galicyi, gdzie poczucie łączności narodowej jest dotychczas słabszem, niż w innych dzielnicach. Niestety, większą wrażliwość opinii na gwałcenie praw ludności polskiej w Prusiech przypisać trzeba nie tyle wzrostowi poczucia tej łączności, ile raczej rozbudzonemu wskutek wypadków wiedeńskich antagonizmowi narodowemu. W każdym razie jest to faktem pocieszającym, że walka żywiołu polskiego z niemczyzną na kresach zachodnich naszej ojczyzny poruszyła umysły i serca w Krakowie i Lwowie.

Nie będę tu rozwodził się nad mową p. Zajączkowskiego, wiceprezesa stowarzyszenia dziennikarzy, wygłoszoną na bankiecie uczestników powstania 1863 r. która zirytowała mocno hakatystów berlińskich, oburzających się na »mieszanie się zagranicy do spraw wewnętrznych pruskich«. Natomiast chce pomówić trochę o wniosku posła włościańskiego p. Kramarczyka, a raczej z powodu tego wniosku.

Niewątpliwie w poczciwej myśli, pod wpływem oburzonego uczucia narodowego p. Kramarczyk postawił w sejmie wniosek, dokładniej mówiąc, wyraził żądanie, żeby rząd austryacki na wydalanie poddanych swoich Polaków z Prus odpowiedział wydaleniem poddanych pruskich z Galicyi i wogóle z Austryi. .

Przedewszystkiem wniosek p. Kramarczyka nie mógł mieć znaczenia praktycznego, chociażby nawet sejm jednogłośnie go poparł. Nie ma wogóle rządu w Europie, któryby tak mało dbał o swoich poddanych zagranicą, jak rząd austryacki. Byłoby zaś więcej niż naiwnem przypuszczenie, że ten rząd, dziś zwłaszcza, zechce narazić się Prusom. Toć przecie organ ministeryum spraw zewnętrznych, na czele którego stoi p. Gołuchowski w tych dniach właśnie zamieścił artykuł, wychwalający mądrość polityki pruskiej w sprawie kolonizacyi ziem polskich. Prędzej można byłoby się spodziewać, że rząd rosyjski ujmie się za swymi poddanymi Polakami, wydalanymi z Prus, nie dla tego, że jest życzliwszym dla Polaków, ale dla tego, że jest samodzielniejszym i ma poczucie swej siły i godności. Wprawdzie i rząd rosyjski nie protestował przed 12 laty przeciw wydalaniu swych poddanych, Polaków i Żydów z Prus, ale wkrótce potem odpowiedział na edykty pruskie ograniczeniem praw poddanych niemieckich i w ogóle cudzoziemców w państwie rosyjskiem. Jakolwiek gabinet berliński nie krępował się nigdy w polityce zewnętrznej, a tymbardziej w swojej polityce wewnętrznej przymierzem swojem z Austryą, w Wiedniu nie odważono się nigdy na coś takiego, co byłoby nie mile widzianem w Berlinie. Tymbardziej dziś nie uczyni tego p. Gołuchowski, który dokłada wszelkich starań, żeby w Berlinie zapomniano o jego polskiem pochodzeniu. Poddanych austryackich można bezkarnie wydalać, nie osłabiając węzłów serdecznej przyjaźni, ale gdyby zaczęto wydalać poddanych pruskich z Austryi, fakt ten w Berlinie uznano by niewątpliwie za zerwanie przymierza, bo tam inaczej pojmują godność państwa.

Zresztą jak słusznie zaznaczył *Kuryer lwowski*, żądanie p. Kramarczyka dotknęło by przedewszystkiem Polaków, poddanych pruskich, których w Galicyi sporo przebywa, bo chyba w najśmielszem marzeniu nie podobna przypuścić, żeby rząd austryacki zgodził się wydalać tylko Niemców. P. Kramarczyk tego skutku nie przewidział. Mielibyśmy w zmienionej nieco formie powtórzenie znanej anegdotki o dorożkarzach - chrześcianach i pasażerach - żydach: ty bijesz moich Polaków, ja biję twoich. Właściwszym i potrzebniejszym byłby wniosek, żądający uregulowania praw Polaków, przebywających w Galicyi na zasadzie postanowień kongresu wiedeńskiego, oraz uregulowania w myśl tych postanowień stosunków ekonomicznych między trzema zaborami. Przecie te postanowienia formalnie obowiązują dotychczas rządy, chociażby o tyle tylko, o ile nie zostały przez późniejsze umowy uchylone lub zmienione. W ogóle dziwnem wydać się musi, że dziś, gdy tyle rozprawia się o autonomii Galicyi, a nawet o zmianie prawno - politycznego stosunku kraju do państwa, żaden z mężów stanu i publicystów nie przypomniał sobie postanowień kongresu wiedeńskiego. Myśl polityczna galicyjskich mężów stanu, sięgając w przeszłość, zatrzymuje się na patencie grudniowym i znanej rezolucyi sejmowej. To są słupy Herkulesowe ich erudycyi historyczno-politycznej.

Podówczas gdy bracia nasi w państwie pruskiem, gdzie *suprema lex regis voluntas* i zaciekłość krzyżacka depce nietylko międzynarodowe, ale i własne zobowiązania — powołują się zawsze w obronie swych praw na postanowienia kongresu wiedeńskiego, politycy nasi w Galicyi, gdzie te postanowienia chociażby w ograniczonym zakresie mogły wejść w życie — zapominają zupełnie o nich. A warto byłoby przypomnieć je sobie, chociażby dla tego tylko, że dają poniekąd naszym dążeniom autonomiczno - narodowym podstawę prawno-historyczną pewniejszą, niż wszelkiego rodzaju »patenty« austryackie. Na tej podstawie można by pomówić należycie o »instytucyach narodowych« prawdziwych, bo chyba te urządzenia ogólno-austryackie, raczej niemiecko-austryackie, które posługują się u nas ze względów praktycznych językiem polskim, nie są instytucyami narodowemi w znaczeniu właściwem tego wyrazu. *J. L. Jastrzębiec.*

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa, 23 stycznia 1898.

Rozwój polityczny Rosyi a polityka rusyfikacyjna. — Ogólnopaństwowe reformy w zastosowanin do Królestwa. — Wyższość kulturalna Królestwa. — Prawo o maksymalnej długości dnia roboczego — Szkodliwość jego dla naszych robotników. — Bezrobocia w warszawskich fabrykach mechanicznych. — Stosunek klas uprzywilejowanych do rządu. Spis wydalonych studentów i pomoc dla nich. — Uwolnienie. — Aresztowanie. —Suspendowanie księdza.

Niejednokrotnie już, uzasadniając przekonanie, że nie zanosi się u nas na rzeczywistą i trwałą zmianę metody i środków rządzenia, nadmieniałem, że w Cesarstwie, w rządzie ogólno-państwowym słabe przebłyski nowych zasad politycznych gasną jeden po drugim, a natomiast rozpiera się, tężeje system centralizacyjno-biurokratyczny. Zestawienie tych dwóch kategoryi stosunków, poniekąd współzależnych, wykazywanie równoległości pomiędzy temi dwoma szeregami zjawisk, do pewnego stopnia sprzężonych, mogłoby naprowadzać czytelników na myśl, że zmiany polityki rządu rosyjskiego względem Polaków oczekuję od postępowego rozwoju stosunków politycznych w Rosyi. Aczkolwiek, mojem zdaniem, tamtejszy rozwój postępowy mógłby przynieść co najwyżej zmianę k s z t a ł t ó w i s p o s o b ó w polityki rusyfikacyjnej, przecież nie obawiałbym się zaznaczonego domniemania czytelników, gdyby nie to, że w trop za domniemaniem pójść może posądzenie już zgoła fałszywe i zupełnie dla mnie wstrętne, posądzenie

o myśl, że wszelkie postępowe reformy rosyjskie w zastosowaniu do nas będą pożyteczne, że więc w każdym razie należy nam, Polakom z Królestwa, pragnąć i domagać się niewyłączania nas z reform ogólno-państwowych. Nie mając w tej chwili zamiaru wyczerpać poruszonego pytania, względem którego stanowisko moje już określiłem wyrazem »posądzenie«, pomijam takie przeciw niemu argumenty, jak zniszczenie śladów odrębności politycznej, zachowanej w instytucyach i urządzeniach li tylko Królestwu właściwych, jak krępowanie i kaleczenie swoistych właściwości życia narodowego, wtłaczanego w formy »normalnej« moskiewszczyzny, jak nieuchronne zwiększanie się ilości Moskali w kraju, zjeżdżających w charakterze wykonawców każdego nowego prawa czy urządzenia, jak wzmacnianie rozbieżności rozwoju w życiu trzech zaborów i t. d. Każdy z tych argumentów zbyt jest poważnym i obszernym, żebym miał je wszystkie ścisnąć w jednej kopercie pocztowej — ale zato zatrzymam się dłużej nad jednym.

Chociaż w utartych i wziętych zdaniach o wyższości kulturalnej Królestwa w porównaniu z Rosyą jest sporo przesady, bo stuletnie wysiłki caratu w celu stłumienia świadomości obywatelsko-narodowej i wykorzenienia nałogu inicyatywy społecznej czy osobistej znieprawiły, ogłupiły i osłabiły nasz ogół w sposób zastraszający; bo wielokrotne najścia rabunkowe, wielostronne ssawki fiskalne i wieloletnie utrudnienia ekonomiczne, przyczyniły się naprzód do zniemczenia i zżydzenia przemysłu i handlu, a potem opętały go siecią, taryf i stawek, dyktowanych przez fabrykantów z Moskwy i rolników z za Donu; bo odcięcie ludu od szkoły i kościoła wytworzyło po osadach i miastach ogniska zdziczenia i zbrodni, — chociaż, powiadam, skutkiem tego wszystkiego w zdaniach o wyższości kulturalnej Królestwa w porównaniu z Rosyą jest sporo przesady, jednak zaprzeczyć nie można, iż wyższość ta istnieje. Widać ją i w obyczajach życia towarzyskiego, i w stosunku do zagadnień naukowych, i w pojęciach o roli władzy państwowej, i w organizacyi przemysłu. Ten zdążył już wytworzyć prawdziwą klasę robotniczą, a ta zdążyła już przyswoić sobie pewne metody solidarnej taktyki klasowej, wyrobić pewną świadomość i odwagę, wznieść się wreszcie do poczucia interesów narodowych czyli nabrać zabarwienia politycznego. Skutkiem długich wysileń i walk, skutkiem większych potrzeb kulturalnych i skutkiem wielu okoliczności od siebie niezależnych robotnik polski zdobył w układzie przemysłowym stanowisko bez porównania lepsze, niż robotnik rosyjski. Lepszem jest ono przedewszystkiem ze względu na to, że dzień roboczy w zakładach fabrycznych Królestwa jest krótszy, niż w Rosyi, a system płacy korzystniejszy i podatni jszy.

Zwracam uwagę wyłącznie na fabryki mechaniczne. Podczas gdy w Cesarstwie robotnicy pracowali w takich fabrykach od 12 do 15 godzin na dobę, w Królestwie przeciętna zwyczajowa długość dnia roboczego w fabrykach mechanicznych wynosi 10 godzin. Robotnik rosyjski płatny jest przeważnie od dnia, polski od godziny. Stąd płyną skutki nader ważne. Regulamin fabryczny, zatwierdzany dla każdej z osobna fabryki przez inspekcyę i obowiązujący zarówno robotnika, jak pracodawcę, głosił wyraźnie, że robotnik powinien pracować przez 10 godzin na dobę za wynagrodzenie, umówione w kontrakcie najmu, zapisane do książeczki i przed skończeniem kontraktu (czyli bez ostrzeżenia w terminie prawnym) zmianie uledz nie mogące. Jeżeli fabrykant chciał, żeby robotnicy pracowali dłużej, musiał uzyskać na to ich zgodę, zgoda zaś obowiązywała na dziś, lecz nieodnowiona — nie obowiązywała jutro. Za takie dodatkowe, »fajrantowe« godziny pracy płacono w fabrykach mechanicznych (jak zresztą i w innych) drożej, niż za godzinę pracy dnia normalnego, drożej o 25, o 30, czasami nawet o 50%. Jeżeli robotnik potrzebował zarobku, a nie dbał o wypoczynek, pracował na »fajrant«, jeśli nie chciał, wychodził z fabryki, nie mógł wszakże nic cenić tej swobody, musiał rozumieć swą niezależność i wartość takiego układu. Dawał mu on możność wypoczynku, zabawy, zajęcia się własnymi interesami, dawał możność dodatkowego zarobku, regulującego wedle chęci własnej (oczywiście w pewnych granicach) zarobek normalny, wzmacniał w końcu stanowisko jego wobec fabrykanta, który najczęściej potrzebował godzin »fajrantowych,« a więc potrzebował dobrego porozumienia z robotnikami,

I oto do takiego układu zwyczajowego i pół-prawnego przychodzi raptem rząd rosyjski ze swoją »ogólnopaństwową reformą postępową«, z unormowaniem dnia roboczego. Robotnicy rosyjscy, płatni za dzień i pracujący 12—15 godzin, dostają 11 i pół godzin pracy i taką samą zapłatę, boć oczywiście — w pierwszej przynajmniej chwili — rząd nie pozwolił fabrykantom obniżyć zapłaty. Równałoby to się prostemu obdarciu robotników przez rząd — bez winy, bez celu i bez pożytku dla kogokolwiek. A cóż się dzieje u nas? Prawo nie n a k a z u j e 11 i pół godzin pracy, stawia je tylko, jako m a x i m u m. Fabrykanci mogli przeto zupełnie na nowinkę ustawodawczą nie zważać, nie potrafili jednak pominąć sposobności do szwindlu, nieuczciwego, bo szkodzącego robotnikom, bezczelnego, bo cofającego układ rzeczy wstecz o lat kilkanaście przynajmniej, głupiego bo opartego na nadziei, że robotnicy się nie opatrzą, opatrzywszy się — nie zrozumieją, że agitatorów zabraknie... ...Układając nowy regulamin, zastosowany do wymagań nowego prawa, właściciele fabryk mechanicznych oznaczają obowiązkową normę dzienną na 11 i pół godzin, ustanawiając za 10 godzin zapłatę w rozmiarach dotychczasowych, a za dodane $1^1/_2$ godziny w stosunku o 25% wyższym. Zdawałoby się z pozoru, że w rzeczywistości nic się nie zmieniło: wszakże i dotąd pracowano zwykle $11^1/_2$, jeśli nie więcej godzin, wszakże i dotąd brano za godziny »fajrantowe« przynajmniej o 25% drożej. Robotnik — mniemali fabrykanci — nie uczuje prawie, a więc może i nie spostrzeże zmiany — rzekomo »formalnej«. Naprawdę jednak zmiana była wielce doniosłą. Robotnicy tracili przez nią wszystkie te korzyści, które wykazaliśmy wyżej, fabrykant zaś zapewniał sobie: 1) dłuższy dzień roboczy, a więc — jeżeli robotnik odrabia płacę w ciągu 6 np. godzin — większy zysk na każdym robotniku; 2) większą w sumie ilość pracy, a więc nadzieję, że obejdzie się bez donajmowania robotników dodatkowych; 3) stałą płacę zarobną bez targów o godziny „fajrantowe", czyli bez potrzeby starania się o zgodę robotników, bez zależności od nich; 4) nadzieję usunięcia w przyszłości 25%, dodawanych za ostatnie $1\,^1/_2$ godziny, skoro te $1\,^1/_2$ godziny weszły już do czasu normalnego.

Fabrykanci słowem zyskiwali tyle, że odważyli się spróbować nowego regulaminu. To wywołało zmowę i bezrobocie w warszawskich fabrykach mechanicznych,

a po części i w innych.*) Zatrzymaliśmy się umyślnie dłużej nad przyczynami ostatniej zmowy dla tego, że ogół nie rozumiał ich należycie, a nawet, jak się zdaje niektóre zarządy fabryczne do dziś nie wiedzą, o co chodzi. Trzeba przyznać istotnie, że robotnicy nie umieli należycie wytłumaczyć kierujących niemi pobudek, czując instynktownie, że chcą ich skrzywdzić i skrępować, nie potrafili należycie rozwikłać plątaniny istniejącej, zgodnej formalnie z dotychczasowym stanem rzeczy, a jednak faktycznie wręcz z nim sprzecznej. Pochodzi to oczywiście stąd, że robotnicy nie mają możności naradzenia się spokojnego i wyjaśnienia sobie do gruntu własnych potrzeb i interesów. Ale dla osób, bliżej ze sprawą obeznanych i na przebieg jej bezpośrednio oddziaływających, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przyczyną bezrobocia było przedłużenie obowiązkowego dnia roboczego, celem zaś — przynajmniej utrzymanie stosunków dotychczasowych, chociaż strekujący stawiali przy sposobności żądanie podwyższenia płacy.

Z natury rzeczy wynikło, że bezrobocie objąć musiało przedewszystkiem tych robotników, których warunki pracy i najmu najbardziej bezpośrednio i najbardziej dotkliwie skrzywdzone zostały przez zmianę regulaminu. Przewodnikami zmowy byli przeto robotnicy płatni od godziny, podczas gdy płatni od sztuki i wszyscy inni, solidaryzujący się z pierwszymi i popierający ich żądania, mogą być raczej uważani za manifestantów, lubo i o nich w tej walce chodziło. Najwyraźniej i najrozsądniej istotne przyczyny niezadowolenia i cele zmowy zostały sformułowane przez robotników fabryki Lilpopa, Raua, Loewensteina i Sp., którzy oświadczyli, że pragną, aby »wszystko było po staremu«. Oprócz wymienionej fabryki bezrobocie objęło firmy: K. Rudzki i Sp. (głównie dwa odziały, ogółem zaś do 1000 ludzi), August Rephan (kotlarnia), Gazownia warszawska (około 100 ludzi) Kijewski, Scholtze i Sp. (fabryka przetworów chemicznych, około 100 ludzi) parę warstatów mechanicznych, fabrykę wstążek i kilka jeszcze innych drobniejszych zakładów. Czas trwania zmowy wynosił w rozmaitych fabrykach od paru godzin do dni 11; najkrótszym był w gazowni i fabryce chemicznej, najdłuższym u Rudzkiego. Przebieg zajść był bardzo spokojny; robotnicy uniknęli wszelkich nadużyć (tylko u Lilpopa wyłamano bramę; świętowało tam do 1500 ludzi) i całem postępowaniem swojem dowiedli rozwagi, umiarkowania, zręczności i godności. Żądania swoje ponawiali codzień, policyi i wojska nie prowokowali, wygórowanych wymagań nie stawiali, zebrania masowe rozpoczęli dopiero ku końcowi bezrobocia, z inspektorem fabrycznym (Iwanisowem) pomocnik jego Sztern mówił po polsku) rozmawiać po rosyjsku nie chcieli. Pomimo wszystkiego nie wszędzie dopięto celu. Najlepiej powiodło się w gazowni, gdzie po paru godzinach za pośrednictwem dyrektora uzyskano zgodę głównego zarządu w Dessau na skrócenie dnia roboczego do 8 godzin (przez wprowadzenie 3-ch zmian na dobę; będzie to pierwsza w Królestwie fabryka z 8 godzinnym dniem roboczym!) i podniesienie płacy o 17%. Dalej idzie fabryka Lilpopa, gdzie — zgodnie z życzeniem robotników — wszystko zostało »po staremu«, czyli przy 10 godzinach obowiązkowych. Gdzieindziej porobiono też niejakie nstępstwa, w wielu fabrykach dotychczas nie otrzymano nic, lubo bezrobocie już się skończyło.

Niewątpliwie jednak i tu, jak zawsze się u nas dzieje, fabryki wkrótce porobią ustępstwa, złamawszy wpierw wespół z żandarmami »krnąbrność« robotników — »dla zasady«, dla przykładu, dla powagi. Bo naszych bezroboci. naszej walki klasowej niepodobna mierzyć miarą, stosowaną na zachodzie Europy. Tutaj nie trzeba nadużyć ani pogróżek ze strony robotników, żeby policya uznała za potrzebne wdać się w sprawę; żandarmi pojedyńczo, oddziałkami lub całemi gromadami wespół z jazdą i piechotą wpadają na podwórza fabryczne na samą wieść o zmowie, o przerwaniu robót i biorą do więzienia, kogo złapią, po pierwszem bezskutecznem wezwaniu do uległości. I teraz przecie uwięziono 100 z górą robotników (w cytadeli, w więzieniu karnem przy ul. Pawiej, w więzieniu policyjnem na ratuszu) — za nic. W takich warunkach wygrać bezrobocie jest niesłychanie trudno; trzeba na to okoliczności sprzyjających, ruchów masowych, nawału zamówień w fabryce, wytrwałości i odwagi, czasami nawet krwi... dla jakichś 10 kopiejek dziennie! Ale przecież powoli umacnia się przekonanie, że robotnik nie pozwoli robić z sobą, co się komu podoba.

Bo zważcie tylko, proszę, na pewną stronę tej sprawiedliwości społecznej, bronionej przez rząd moskiewski. Fabrykanci mają prawo zejść się w komisyi fabrycznej, wybrać sobie na przewodniczącego żandarma albo urzędnika, skasować dotychczasowy regulamin, a ułożyć nowy, ustanowić surowe warunki najmu i — zażądać od robotników, żeby je przyjęli. Jeśli nie przyjmą — więzienie. Ale robotnicy nie mają prawa najspokojniej i najtaktowniej postawić swoich żądań, nie mają prawa odrzucać tego, co bez nich uradzono o nich. Oczywiście lud jest niepełnoletni, a robotnik dziki, kierować nim muszą panowie i fabrykanci pod osłoną bagnetów moskiewskich. Tego rodzaju przykład wyjaśnia dostatecznie, ile korzyści przynoszą ludowi i społeczeństwu polskiemu »postępowe reformy ogólnopaństwowe«, oraz w jakim do rządu stosunku pozostają nasze klasy uprzywilejowane. Reakcyjne i lojalne z natury pewne być muszą poparcia Moskali w każdem starciu z żywiołami wolnomyślnymi i demokratycznymi, bo wzrost tych żywiołów wzmacniałby obóz wrogów dzisiejszego porządku społecznego i politycznego, obóz wrogów rządu. Nie zawsze jednak klasy uprzywilejowane korzystają świadomie i chętnie z poparcia rządu. Najchętniej i najbezczelniej robią to fabrykanci, boć tu każda przegrana lub wygrana realizuje się odrazu w rublach; różne natomiast szczury klerykalne i upiory arystokratyczne, nawet głosząc hasła ugodowe, omijają zwykle konieczność sojuszu z Moskalami. W krwi ich nie wygasł jeszcze instynktowy wstręt do najeźdźców, ale wygasa z rokiem każdym.

Nazwiska studentów, wydalonych z uniwersytetu za manifestacyę przeciw autorom telegramu z wyrazami czci dla Murawjewa, są następujące: Czaplicki (wydalony na 3 lata bez prawa wstąpienia kiedykolwiek do uniwersytetu warszawskiego), Trejdosiewicz, Sochaczewski, Kacperski, Zabłocki, Gąsiorowski, Olszewski (wydaleni na 2 lata z prawem wstąpienia gdziekolwiek po upływie tego czasu); Majewski, Gorajski, Brzozowski (wydaleni na 1 rok z prawem wstąpienia gdziekolwiek po upływie tego czasu), Górnicki, Fabiński, Wilczyński, Gębarski, Kowalski, Kobert, Biller, Okuszko, Wagner, Ałapin, Wolfin, Kiełczewski, Smolski, Białostocki, Kon-

*) Doszła mię w tej chwili wiadomość o zmowie w Sannikach (cukrownia w gub. warszawskiej). Nieporozumienie dotąd nie rozstrzygnięte powstało z powodu tego punktu w nowem prawie, który każe zawieszać roboty w niedziele i święta.

czewski i jeszcze paru (razem 30) na 1 rok z prawem wstąpienia natychmiast do innego uniwersytetu w państwie. Słyszałem, że grono ludzi gorliwych i energicznych już zakrzątnęło się około zorganizowania pomocy dla skrzywdzonej młodzieży, a to mianowicie —w myśl projektu, rozwiniętego i przez Was — za pomocą zebrania funduszu stypendyalnego. Jest rzeczą wielkiej wagi, żeby społeczeństwo raz wreszcie zdobyło się na taką pokojową manifestacyę solidarności z uczuciami, które popchnęły studentów do okazania pogardy »czcicielom szubienicy«. Uczucia te muszą przecież istnieć w sercu każdego Polaka, i ci nawet, którzyby zechcieli uznawać czyn młodzieży za »nierozważne szaleństwo«, nie mogą, bez skłamania sumieniu, odmówić aprobaty, gdy chodzi o krok zasadniczy. Wyrzeczenie się bowiem studentów wydalonych znaczyłoby tyleż, co potępienie zasady, która niemi kierowała. Profesorowie składali hołd Murawjewowi w imieniu uniwersytetu — trzeba było zadać kłam bezczelności.

W liczbie osób, aresztowanych we Włodawie z powodu prośby byłych unitów do cara (o czem pisałem przed 2-ma tygodniami) był i p. Kraszewski z Romanowa, bratanek Józefa Ignacego.

Przed tygodniem uwolniono z cytadeli warszaszawskiej za kaucyą 10.000 rs. p. Seweryna Junga, aresztowanego pod zarzutem agitacyi patryotycznej w lecie r. u. Parę osób, uwięzionych z nim razem, wypuszczono już dawniej.

Dziekan i proboszcz berezyński Wojczyński, o którego sprawkach pisałem niedawno, został zasuspendowany przez władzę biskupią.

X — vita.

MYDŁKOWANIE UGODOWE,

Z Żytomierza piszą do *Czasu*, że w gimnazyum miejscowem aresztowano kilkunastu uczniów Polaków, którzy przy współudziale »gromadki egzaltowanych panien« założyli tajne stowarzyszenie patryotyczne. Uczniów po krótkiem badaniu wypuszczono, (o »egzaltowanych pannach« korespondent nie wspomina) i oddano »pod dozór rodzin«. Zatrzymano w areszcie jednego tylko, który »hardo stawiał się« badającej go władzy, t. j. żandarmom.

Rzekome »stowarzyszenie tajne«, o ile wnioskować można z faktów, podanych przez korespondenta, było prawdopodobnie jednem z licznych kółek, tworzonych przez uczącą się młodzież w celu kształcenia się w języku polskim, zapoznawania się z historyą Polski i piśmiennictwem ojczystem. Tymczasem korespondent przedstawia poważnie fakt wypuszczenia z aresztu wypuszczonych uczniów, jako dowód łagodności nowego kursu, twierdząc, że niedawno jeszcze taka historya miałaby inne zakończenie.

Przedewszystkiem nie wiemy jeszcze, jak się skończy ostatecznie »sprawa żytomierska». Powtóre, i dawniej zdarzało się, że uczestników podobnych kółek karała tylko władza szkolna i oddawała »pod dozór rodziny«. Surowość lub łagodność represyi w podobnych wypadkach zależy wyłącznie od osobistych poglądów i usposobienia zwierzchnika szkoły lub prowadzącego śledztwo żandarma i prokuratora.

Zadania kółka musiały być niewątpliwie niewinne, skoro należących do niego uczniów po krótkiem badaniu wypuszczono na wolność, co zresztą nie przesądza wydalenia ich z gimnazyum po ukończeniu sprawy. Fakt zaś tworzenia przez młodzież kółek dla czytania książek polskich lub innych podobnych celów dowodzi raczej, że »nowy kurs« nie wpłynął wcale na zmianę anormalnych stosunków w zaborze rosyjskim. Bo jużciż osadzenie dzieci w więzieniu chociażby na krótki czas, a nawet oddawanie ich »pod dozór rodziny« za podobne przestępstwa chyba i ultra-lojalistom nie powinno wydawać się właściwem.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

PRZYKRE WYJAŚNIENIE.

Niedawno jeszcze *Dziennik poznański*, wyliczając zasługi i wiekopomne czyny p. Cegielskiego, zaznaczył, że pewnego razu poseł miasta Poznania »przypadkiem« zaszedł na posiedzenie parlamentu i nagle powziął szczęśliwą myśl zaszachowania komisyi kolonizacyjnej za pomocą odpowiedniej poprawki do § 62 prawa wykonawczego o kodeksie cywilnym. Wówczas *Dziennik* i niektóre inne pisma nadawały niepoślednie znaczenie tej poprawce, twierdząc, że właściwie znosi ona ustawę kolonizacyjną w przyszłości.

Obecnie p. Motty poruszył sprawę tej poprawki. Wobec wniosku, o wzmocnienie funduszu kolonizacyjnego zauważył, że nie opłaci się wyznaczać pieniędzy na wykonywanie zarządzeń ustawy, która wkrótce straci moc prawną. W projekcie kodeksu cywilnego powiedziano, iż nowe przepisy nie stosują się do postanowień prawa krajowego pruskiego o włościach rentowych i kolonizacyi. Na wniosek p. Cegielskiego, który w trzeciem czytaniu projektu poparł p. Czarliński wykreślono kolonizacyę i wyprowadzono z tego faktu wniosek, że z d. 1 stycznia t. j. z chwilą wprowadzenia w życie nowego kodeksu cywilnego ustawa kolonizacyjna traci moc prawną.

Minister sprawiedliwości Schoenstaedt, odpowiadając na wywody p. Mottego, przyznał, że prezes Koła sejmowego prawdziwie przedstawił faktyczny stan rzeczy, ale wyprowadził z tych faktów fałszywy wniosek. Rząd pruski nie protestował wówczas w parlamencie przeciw twierdzeniu, że ustawa kolonizacyjna przestanie obowiązywać z d. 1 stycznia, bo znając dobrze jej treść, wiedział, że wniosek p. Cegielskiego nie obala wcale jej prawomocności. Zdaniem ministra prawo kolonizacyjne jest po części prawem publicznem a po części ma charakter prawa prywatnego. O ile dotyczy przepisów publicznych natury finansowej n. p. rozporządzenia funduszem 100-milionowym, kodeks cywilny wogóle się do niego nie odnosi. Zaś co do jego treści prywatno-prawnej, jest ono prawem rentowem a przepisy jego nie zawierają nic innego, jak poszczególne określenia dla wydawania włości rentowych. W § 3 wyraźnie włości te oznaczono jako rentowe i dla tego zastrzeżenie, dotyczące włości rentowych, odnosi się także do włości kolonizacyjnych.

Szkoda, że posłowie polscy zwykle, tylko »przypadkiem znalazłszy się na posiedzeniu«, stawiają zaimprowizowane wnioski. Bo gdyby p. Cegielski dobrze sprawę rozważył i z prawnikami się naradził, może udałoby mu się skorzystać z ówczesnego usposobienia parlamentu i przeprowadzić poprawkę, szachującą istotnie działalność komisyi kolonizacyjnej. Już sam ten fakt, że rząd nie protestował przeciw poprawce, wniesionej przez p. Cegielskiego powinien był wzbudzić podejrzenie, że nie ma ona doniosłości realnej. Teraz okazuje się dowodnie, że roztrąbione głośno w prasie ugodowej świetne zwycięztwo było tryumfem pozornym i że posłowie nasi, nie będąc zręcznymi politykami, nie są również bystrymi prawnikami.

SOLIDARNOŚĆ I JAWNOŚĆ.

Zasada niemal bezwzględnej solidarności poselskiej, obowiązująca Koła polskie w Berlinie, stanęła niejednokrotnie w jawnej sprzeczności z drugą, nie mniej ważną za-

sadą solidarności politycznej posła z wyborcami, którzy mu mandat powierzyli.

Goniec wielkopolski przypomina, że już przed dwudziestu laty ś. p. Władysław Niegolewski i Ludwik Rzepecki przewidywali tę sprzeczność i myśleli o uregulowaniu stosunku Koła poselskiego do narodu.

Solidarność może być bezwzględną, nawet istniejące obecnie zastrzeżenia powinny być usunięte »jeżeli poseł głosujący wobec Niemców jako jednostka, która utonęła w całości, znajdzie inny, legalny środek na to, żeby przed obywatelami odkryć całość i zupełność swoich przekonań«. Tym środkiem, istotnie zupełnie odpowiednim, jest jawność obrad w Kole, »bez której solidarność staje się tyranią nietylko polityczną, ale i moralną«.

Argumentacya ówczesna na korzyść tej zmiany zasadniczej w postępowaniu Koła i dzisiaj może być doskonale zastosowaną.

»Stronnictwa niemieckie są »dyplomatycznemi« gałęziami jednego i tego samego »politycznego« niemieckiego drzewa; Koło zaś nasze »odrębnem jest drzewem«, którego korzenie głęboko tkwią w ziemi polskiej, a tylko konary cząsteczką pewną, i to przymusem nagięte, składają się na strzechę dla obcej, a często wrogiej nam legistratury.

»Jeżeli tedy prawdą jest, że frakcye niemieckie ze względów dyplomatycznych mogą, a nawet muszą nieraz osłonić się płaszczem tajemnicy, ażeby tym sposobem doprowadzić swe partye w kraju do znaczenia i władzy — to przecież my Polacy, dla których nie ma stołków ministeryalnych, nie potrzebujemy sztuk dyplomatycznych, i tylko zyskamy na tem, jeżeli polityczne dążności nasze będą zawsze jawne.

Przyjęcie zasady jawności obrad w Kole byłoby rzeczywiście nietylko »początkiem nowej ery w dziejach naszego posłowania«, ale i nowej ery w życiu publicznem zaboru pruskiego i odpowiadałoby nieuniknionej demokratyzacyi naszej polityki narodowej.

DZIELNY CHŁOPIEC.

W poprzednim numerze wspomnieliśmy o skazaniu ucznia drukarskiego, Bernarda Kurzyńskiego za to, że nie chciał wydać autora pewnego artykułu w *Gazecie grudziądzkiej*. W wyroku, skazującym chłopca na 6 dni więzienia lub 30 marek grzywny, nazwano go »pomocnikiem i współwinowajcą autora artykułu.«

Ten wyrok jeszcze się nie uprawomocnił gdy — czytamy w *Gazecie grudziądzkiej* — wezwano Kurzyńskiego do sędziego śledczego i w zapozwie zapewiedziano mu, że zostanie natychmiast uwięzionym, jeżeli nazwiska autora artykułu nie wymieni. »Ponieważ — pisze *Gazeta grudziądzka* — w wyżej wymienionem piśmie nazwano go współwinowajcą, przeto nabrał uczeń przekonania, że może czynność jego względem artykułu była tego rodzaju, iż i jemu wytoczonoby proces, przeto powoływał się w terminie przed sędzą śledczym podobno na §. 54 ordynacyi karnej procesowej. Paragraf ten pozwala, aby każdy, kto sam poczuwa się do winy w takiej sprawie, w której ma być słuchanym jako świadek, odmawiał odpowiedzi na takie pytania, które mogłyby, jego winę uwydatnić«.

»Prawdopodobnie chciał sędzia śledczy jednakże odebrać od ucznia przysięgę, a tenże prawdopodobnie nie chciał przysiądz, a wedle naszego zdania też tego wcale nie potrzebował. §. 56 ordynacyi procesowej karnej nie pozwala bowiem, aby zaprzysięgano świadka, który jest sam podejrzanym o jakąś współwinę w sprawie, w jakiej ma świadczyć. Tak samo czytamy w objaśnieniach radzcy ministeryalnego Loewego, do §§ 20 i 21 prawa prasowego, że drukarz poderrzany o współwinę nie może być słuchanym pod przysięgą.

»Koniec końcem, uczeń został uwięzionym. Zresztą idąc na termin był na to przygotowanym, gdyż poprosił, aby mu napisać zażalenie, któreby natychmiast wręczył sędziemu śledczemu, gdyby go kazano uwięzić. Obawy biedaka się spełniły, i dziś siedzi w więzieniu.«

Siedzi i może siedzić kilka (do 6) tygodni bo prawodawstwo pruskie uznaje t. zw, »przymus świadczenia. Pisma niemieckie, katolickie, wolnomyślne i socyalistyczne wyrażają oburzenie z powodu tej sprawy. Oburzenie tymbardziej uzasadnione, że artykuł, o który chodzi, nie jest z prawnego punktu widzenia karygodnym i zapewne sąd będzie musiał wydać wyrok, uwalniający redaktora od odpowiedzialności. Treścią inkryminowanego artykułu było bowiem, dosyć oględnie wyrażone potępienie tych rodziców Polaków, którzy posyłają dzieci do niemieckiego oddziału na naukę przygotowawczą do spowiedzi, sądząc, że to jest bardziej „fajn". W najgorszym razie redaktor, a nawet autor mógłby być skazanym na karę pieniężną, tymczasem uczeń drukarski, świadek wskutek „przymusu świadczenia", przesiedzi kilka tygodni lub kilka miesięcy w więzieniu

Nic dziwnego, że z powodu tej sprawy *Gazecie grudziądzkiej* nasunęło się ironiczne pytanie: czy niebyłoby lepiej, gdyby dla pism polskich w Prusiech zaprowadzono cenzurę. jaka istnieje w zaborze rosyjskim.

MOWA KSIĘCIA HOHENLOHEGO.

W pierwszej chwili dzienniki niemieckie, berlińskie i wiedeńskie, dopatrzyły w mowie ks. Hohenlohego, zwróconej przeciw agitacyi polskiej, aluzyi do stosunków austryackich. Organy narodowców niemieckich w Austryi tryumfowały nawet z powodu tej »przestrogi«, wysłanej z Berlina do Wiednia.

Obecnie *Wiener Tageblatt* »z bardzo dobrze poinformowanego źródła« otrzymał wiadomość, że ostrze mowy księcia Hohenlohego zwrócone były przeciw agitacyi polsko-rosyjskiej, »której nici zbiegają się w Poznaniu« (?). Jeżeli rząd pruski obawia się tej agitacyi, to chyba dlatego tylko, że, jak mówi nasze przysłowie »na złodzieju czapka gore«. A może to manewr dla zaszachowania pogłoski, że część funduszów kolonizacyjnych idzie na zapomogi i pożyczki dla Niemców, nabywających posiadłości ziemskie w Królestwie i kraju zabranym?

Mowa ks. Hohenlohego zainteresowała prasę angielską. *Tim's*, nie wiedząc do kogo się zwrócić z prośbą o informacyę, skorzystał widocznie z jedynego wiadomego redakcyi adresu i zapytał p. Skrzyńskiego, wiceprezesa towarzystwa dziennikarzy we Lwowie: jakie wrażenie sprawiły w społeczeństwie polskiem słowa kanclerza niemieckiego. P. Skrzyński zasięgnął podobno rady »wybitniejszych osobistości politycznych«, ale, niestety, obszerny jego telegram do dziennika angielskiego zawiera tylko szereg ogólników. »Polacy w zaborze pruskim — powiada p. Skrzyński — do niczego innego nie dążą, jak do legalnej obrony swojej narodowości, swojej wiary, nie mniej swojego kulturnego i materyalnego dorobku, a zarzut ze strony rządu pruskiego, że knują spiski, pragną oderwać się od państwa pruskiego i wypierają Niemców, jest tylko parawanem dla zarządzeń, mających na celu zrealizowanie haseł hakatyzmu, z któremi rząd zupełnie się zidentyfikował, haseł koncentrujących się w słowie: »ausrotten!«

»Śmiesznem jest utrzymywać, jakoby garstka Polaków mogła być niebezpieczną dla państwa, kroczącego wprawdzie nie na czele cywilizacyi, lecz na czele zbrojnych potęg i gotowego stłumić każdy nierozważny zapęd bagnetami. Naturalnie, że i wśród społeczeństwa polskiego

w Prusach znachodzą się gorętsze, egzaltowane żywioły, boć nie ma na świecie narodu bez takich żywiołów, lecz właśnie są one bardziej niż gdzieindziej umiarkowane i stoją zarówno z większością swoich rodaków na gruncie legalnym.

Co do następstw wypowiedzianej Polakom walki, to odpowiedź jest krótka. Polacy skupią się odtąd tem silniej, różne obozy polityczne zbliżą się do siebie, spotęguje się w nich przywiązanie do swojej wiary i języka, zwiększy się odpór i wydatniejszą będzie praca nad podniesieniem intelektualnego i materyalnego poziomu«.

Nie o to z pewnością Anglikom chodziło i nie wiele z tego wszystkiego dowiedzieli się o zajmującej ich kwestyi.

Z GALICYI.

SEJM WOBEC RUSINÓW.

Jeżeli kto na przebieg obecnej sesyi sejmowej spoglądać może z pełnem zadowoleniem, to niewątpliwie Rusini. Sejm jest dla nich uprzedzająco grzeczny. Nie przyzna tego zapewne p. Okuniewski, traktowany bez ceremonii *per non est*, przyznać natomiast muszą przedstawiciele Rusinów »ukrajowionych« pp. Barwiński i Wachnianin, których wnioski niesłychanie dla politycznego stanowiska Rusinów galicyjskich doniosłe, spotykają się z nader życzliwą oceną i przychylnością. Ci szermierze znaku metropolity Sembratowicza umieją z dyplomatycznym spokojem i manierą dobrze wychowanym mężom stanu właściwą. sprytnie wyzyskiwać obecną sytuacyę dla celów bardzo poważnych i realnych, co więcej, umieją żądać nie napróżno. Najciekawszym w tem wszystkiem jest ten nagły i niespodziewany zwrot, jaki się objawia w usposobieniu większości sejmowej wobec Rusinów, ta nadzwyczajna gotowość konserwatystów do ustępstw wobec żądań ruskich, idących, rzecz pewna, bardzo daleko. Przed rokiem jeszcze zachowawcy galicyjscy nie byliby chcieli nawet słyszeć o tem, co dziś sami ofiarują przedstawicielom »bratniego« narodu. Znaczący ten objaw tłómaczy się po części naciskiem, jaki wywiera ostatnimi czasy atmosfera polityczna w Austryi, wytworzona rozporządzeniami językowemi hr. Badeniego. Upadek prezydenta ministrów nietylko nie zasypał gruzami pierwszej próby sprawiedliwego ułożenia stosunków narodowościowych w państwie, nietylko utrzymał ją jako fakt dokonany, którego już żadna siła ludzka, mimo zmieniać się mogących form, z widowni politycznej zmieść nie jest w stanie, lecz uogólnił ją i jako pierwszorzędną konieczność narzucił niejako wszystkim krajom o ludności narodowościowo mieszanej. W ich rzędzie Galicya pierwsze zajęła miejsce. Niemcy, których hegemonię centralistyczną rozporządzenia językowe mocno zachwiały i podkopały, wskazywali niejednokrotnie Galicyę jako dowód, że Polacy, broniąc zasady sprawiedliwości w państwie, sami u siebie rządzą się niesprawiedliwością i »uciskają« Rusinów. Prawda, że ten rzekomy »ucisk« jest w najlepszym razie wytworem bujnej fantazyi, ale swoją drogą ciągłe wojowanie Niemców tym argumentem obniżyło do pewnego stopnia polityczną reputacyę berła polskiego w szerokiej opinii publicznej. Otóż pod tym względem wrażliwość galicyjskich konserwatystów jest większą, niżby się zdawało. Pragnąc bądź co bądź wytrącić Niemcom broń z ręki, uznali konieczność pokazania światu, że potrafią być sprawiedliwymi nietylko cudzym, ale i swoim kosztem, u siebie w domu. Stąd ten nagły zwrot pojednawczy stronnictwa, które z wszystkich stronnictw polskich było dotąd wobec usprawiedliwionych nieraz żądań Rusinów zawsze najbardziej odpornem i stale głuchem. Najlepiej na tej zmianie usposobienia większości sejmowej wychodzą posłowie ruscy w rodzaju pp. Barwińskiego i Wachnianina, którzy, występując obecnie z postulatami niezaprzeczonej dla Rusinów doniosłości i wiedząc z góry, że mogą liczyć na ich przyjęcie w Sejmie, wzmacniają zarazem stanowisko swoje w własnem społeczeństwie, do tej pory niezbyt pewne i ugruntowane. W tym wypadku idzie im na rękę nawet niespokojny duch p. Okuniewskiego, który sam nie wiedząc, czego właściwie chce, na wszystkie rzuca się strony i w »ekscentrycznem« — jak się delikatnie wyraził p. Szczepanowski — swem zacietrzewieniu strzela zawsze — na ślepo.

Uwzględniając to wszystko, łatwo zrozumieć przychylną ocenę, jakiej doznał w sejmowej komisyi szkolnej wniosek p. *Barwińskiego* żądający zabrowadzenia obowiązkowej nauki języka ruskiego we wszystkich szkołach galicyjskich, (a więc i w Galicyi zachodniej). Obrady komisyi streszczają się w rezolucyach, które ma przedstawić Sejmowi p. Madejski, a które

1) uznają znajomość obu językow krajowych, jako rzecz pożądaną dla obydwu narodów, kraj ten zamieszkujących, a zwłaszcza dla urzędników,

2) polecają radzie szkolnej krajowej, ażeby stopniowo, w miarę pozyskania odpowiednich sił nauczycielskich, we wszystkich szkołach średnich kraju zaprowadziła obowiązkową naukę »drugiego języka krajowego«, wreszcie

3) wzywają rząd, aby w celu urządzenia kursów praktycznych nauki języka ruskiego utworzył przy obu uniwersytach, tudzież przy politechnice lwowskiej posady odpowiednio ukwalifikowanych lektorów.

W ostatnim więc punkcie komisya sejmowa poszła nawet dalej, niż sam wnioskodawca.

Cięższe jeszcze działo wytoczył z kolei p. *Wachnianin* wniósł bowiem gotowy projekt ustawy, regulującej używanie obu języków krajowych w urzędach tak, aby w miejscowościach o mieszanej ludności polskiej i ruskiej urzędnicy państwowi władali w piśmie i słowie obu językami, i zażądał przekazania projektu osobnej komisyi, złożonej z czterech Polaków i tyluż Rusinów, którąby obradowała pod przewodnictwem marszałka krajowego i na następnej sesyi przedłożyła Sejmowi gotowe wnioski. Na razie odesłano projekt p. Wachnianina do komisyi administracyjnej, która sprawozdania jeszcze nie opracowała, z ogólnego jednak nastroju i usposobienia Sejmu sądząc, zdaje się, że i ten wniosek, tymbardziej, że nie nastaje na bezwłoczne załatwienie sprawy, dozna przychylnej oceny i zasadniczo zostanie przyjęty.

ADRES DO TRONU.

Projekt adresu do tronu, ułożony przez specyalistę od takich rzeczy Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, przyjęty jednogłośnie przez komisyę, złożoną z przedstawicieli wszystkich stronnictw sejmowych, tak samo jednogłośnie (dwa głosy Rusinów *zahonystych* pp. Okuniewskiego i Nowakowskiego w rachubę wchodzić nie mogą, tymbardziej, że każdy z nich żądał zasadniczo czego innego) bez żadnej zmiany uchwalony został w pełnej izbie. Już ta, jedyna w swoim rodzaju, jednomyślność daje do pewnego stopnia wyobrażenie o treści i wewnętrznej wartości najświeższego płodu literacko-politycznego hr. Wojciecha. Adres jest więc dokumentem kompromisowym, jako taki nie mógł poruszyć żadnej kwestyi drażliwszej, którąby dotknęła jaki kolwiek z reprezentowanych w Sejmie żywiołów, a ponieważ dla sfer w Galicyi rządzących najdrażliwszemi są istotne, w duchu postępowym rozumiane potrzeby ludu

i nich płynące fundamentalne zadania kraju, przeto z natury rzeczy one znalazły się w adresie na szarym końcu i otrzymały wyraz ogólnikowy.

W wielkim byłby błędzie, ktoby chciał ze stanowiska polskiego lub nawet polsko-ruskiego oceniać ten dokument polityczny; nie znajdzie w nim ani śladu cech narodowych, jest to adres wyłącznie galicyjski, a raczej galicyjsko-austryacki, bo austryackość w nim stanowczo przeważa.

Po za częścią czysto homagialną, która go rozpoczyna i kończy tradycyjnem konserwatystów hasłem »stoimy i stać chcemy«, główne ustępy adresu poświęcone są sprawom i interesom ogólno-państwowym, żądania kraju natomiast zepchnięto na plan drugi, a w dodatku sformułowano je niejasno i nieuchwytnie. Jest więc w adresie przymówka o obsyłanie parlamentu przez Sejmy, jest uznanie zasady równouprawnienia obu, zamieszkujących kraj narodowości i jest w cudownym komunale wyrażona potrzeba o rozszerzenia mocy ustawodawczej sejmów krajowych w tych sprawach, »które nie tyczą się wspólnego interesu państwa i ogólnych warunków rozwoju nowożytnych społeczeństw«. Następuje skromny apel do skarbu państwa o otworzenie krajowi niedostępnych dotąd żródeł dochodów, i życzenie, aby »wyższym władzom administracyjnym w kraju naszym przyznano szerszy zakres działania, na czem, bez ujmy dla ścisłego i bezstronnego przeprowadzenia ustaw, tylko zyskać może szybkie załatwianie spraw i rozwinięcie działalności energicznej, szanującej prawa i swobody obywatelskie, a stojącej na straży wszystkich moralnych i materyalnych interesów państwa i społeczeństwa«. W przytoczonem zdaniu jak widzimy załatwia się adres odrazu w sposób, co prawda nie bijący zbytnio w oczy, z dwoma wprost sprzecznymi kierunkami, w jakich się zasadnicze pojęcia o władzy rozchodzą. Mówi wprawdzie mimochodem o »poszanowaniu praw i swobód obywatelskich,« czego się domagają wszystkie stronnictwa postępowe w Galicyi, główny jednak nacisk kładzie na »przyznanie władzy administracyjnej szerszego zakresu działania«, do czego oddawna wzdychają sfery konserwatywne, a nie żąda wcale, aby te władze z szerszym zakresem działania były przynajmniej przed Sejmem za swe czynności odpowiedzialne... Wreszcie znajdujemy jeszcze w adresie półsłówka o podźwignięciu i ochronie rolnictwa, przemysłu, poprawie komunikacyi, ustawodawstwie robotniczem i t. p.

Jak z powyższego widać, adres nie zadowalnia właściwie nikogo, a główną jego zaletą, jak ktoś słusznie zauważył, że jest przynajmniej nieszkodliwym. Wypada zresztą zaznaczyć, że już z góry, zanim jeszcze projekt wypracowano i przedłożono Sejmowi, nikt nie przywiązywał do niego zbyt wielkiej wagi. Głównym przedmiotem zainteresowania była raczej ogólna rozprawa adresowa w Sejmie, po której się wiele spodziewano. Miał to być wymowny i wyczerpujący komentarz do bezbarwnego i małomównego adresu. Tymczasem i ona zawiodła.

W rozprawie dwudniow.j zabierali głos wprawdzie najpoważniejsi członkowie wszystkich istniejących w izbie klubów, poziom obrad był wszakże zdumiewająco niski. Z ław konserwatywnych przemawiali sami wielcy: Dunajewski, Jędrzejowicz, Piniński, Dzieduszycki — pierwszy z nich wielbił Austryę jako państwo, drugi sławił rządową politykę Koła polskiego, trzeci i czwarty polemizowali przeważnie z nieprzejednanymi Rusinami Okuniewskim i Nowakowskim; w imieniu Rusinów umiarkowanych mówił Barwiński na temat »dajcie, czego żądamy, a będziemy z sobą w zgodzie«, włościan reprezentowali dwaj posłowie chłopscy Sredniawski i Kramarczyk, który zapraszał monarchę do złożenia głowy na łonie ludu polskiego, lewica wreszcie przemówiła przez usta p. Szczepanowskiego, który jednak za wzorem poprzedników związał się dyplomatyczną wstrzemięźliwością i poprzestając na krytyce innych przemówień, wbrew własnej tradycyi unikał starannie wszelkich słów programowych. Prostotą i szczerością górował nad innymi jedynie głos posła Sredniawskiego, zwłaszcza gdy mówił o potrzebie poszanowania praw obywatelskich i kiedy żądał usunięcia języka niemieckiego z niektórych dziedzin administracyi rządowej w Galicyi. Wszystko inne było wysoką dyplomacyą. Prawda, przemawiał jeszcze długo i szeroko poseł Okuniewski i trzeba przyznać, że nie wszystko, co mówił, zasługiwało na lekceważenie, ale swoim zwyczajem rzeczy i ludzi tak z sobą pomieszał, że trudno się kusić o poważną ocenę jego występu. Towarzysz jego, poseł Nowakowski odczytał własny projekt adresu, który atoli wraz z całym szeregiem proponowanych przezeń poprawek bez dyskusyi odrzucono.

Z KRESÓW.

FAKT ZNAMIENNY.

Wyborcy niemieccy w powiecie prudnickim na Górnym Śląsku na zebraniu w d. 4 stycznia ze względu, że »mówiąca po polsku ludność powiatu prudnickiego« nie jest ożywiona duchem narodowo-polskim lecz, przeciwnie, czuje i myśli po niemiecku, odrzucili kandydatury dotychczasowego posła do parlamentu, zamożnego gospodarza Strzody z Wierzchu oraz wezwali komitet wyborczy stronnictwa centrum aby postawił kandydata niemieckiego. Zebranie oświadczyło łaskawie, iż nie jest przeciwnem temu, żeby kandydat mówił po polsku.

P. Strzoda z namowy niefortunnych doradców ogłosił wkrótce po tem w *Neustadter Zeitung*, iż niema przeciw niemu dowodów, żeby w duchu »narodowo-polskim« agitował i dodał, że lud w powiecie prudnickim tej agitacyi nie sprzyja.

»Pan Strzoda pisze *Orędownik* zastraszył się, wyparł się tego, czem rzeczywiście jest, bo bądź jak bądź jest Polakiem i czuje się Polakiem. Pan Strzoda — zaparł się samego siebie.

»Na takie wypadki trzeba być na Górnym Śląsku przygotowanym. Zanadto się gorszyć tem nie należy. Ta chwila upadku ducha minie i p. Strzoda zapewne przy danej sposobności oświadczy wobec Polaków: że jak czuł, tak czuje się Polakiem.«

Istotnie p. Strzoda, jak wielu zamożniejszych i mających pewne wykształcenie Ślązaków, należących do starszego pokolenia, nie dawno dopiero doszedł zapewne do przekonania, że jest Polakiem. Polskość tej kategoryi ludzi jest bardzo jeszcze świeżą i niemożna zbyt wiele od nich wymagać. P. Strzoda nie jest »renegatem«, jak go nazywa niezwykle surowy w tym wypadku *Dziannik polski*, ten sam *Dziennik*, który bez komentarzy przedrukowuje nikczemne insynuacye i kłamstwa gadzinowców ugodowych. Pisma śląskie, lepiej znające stosunki, pobłażliwie skarciły p. Strzodę, wykazując mu, że niewłaściwie postąpił.

„*Katolik*“ uważa, »że obrony tej nie było potrzeba ze względu na stanowisko polityczno-partyjne owych osobistości, które na zebraniu w Prudniku zarzuty p. Strzodzie robiły, bo na ich zdaniu w ogóle panu Strzodzie zależyć nie powinno. Od tych ludzi on głosów nin otrzymał i nigdy nie otrzyma. O ich przyjaźń ubiegać się nie warto, a starać się o zmianę ich przekonania ten chyba się pokusi, kto ich nie zna. Owszem, trzeba sobie życzyć, aby różnica między tymi panami a prawdziwą partyą centrową,

walczącą „za prawdę, wolność i prawo była jak największą«.

Gazeta opolska chociaż jest przekonaną, że pan Strzoda »z własnej woli nie byłby w podobny sposób wystąpił« sądzi go trochę surowiej niż *Katolik*, a raczej zdanie swoje w formie ostrzejszej wypowiada.

»Uważamy, że stała się rzecz niepoprawna i niemiła, szczególnie dla wyborców, a najwięcej dla samego posła Strzody. Chciał za pomocą nieszczęśliwych doradzców położenie złagodzić, a nadał mu wbrew swojej woli przeciwny kierunek. Jednem słowem omylił się, jak to każdemu nieraz się zdarza.

»Wyborcy z tego stanowiska według naszego zdania powinni się na dalszy rozwój sprawy zapatrywać, a od pana Strzody. bezwarunkowo się nie odwracać. Jeśli bowiem to uczynią, będą hakatyści tryumfowali, że ich zabiegi zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem i zaczną na dobre w powiecie burzyć i rej wodzić, a rozdwojenie będzie coraz większe.

»Wyborcy mają jednak prawo żądać, aby p. Strzoda, uznając swoją pomyłkę w tym wypadku, w przyszłości z godnością i rozwagą polityczną taktował takie sprawy, jak zebrania i rezolucye hakatystów«.

Widocznie *verba veritatis* trafiły p. Strzodzie do serca i głowy, bo gdy go wyborcy Niemcy po pierwszym liście wezwali do publicznego oświadczenia że nie tylko sam po niemiecku i po prusku czuje i myśli, ale także ze wszystkich sił będzie za tem agitował, »aby w powiecie Prudnickim znajomość języka niemieckiego i patryotyczna i pruska myśl i poczucie jak najbardziej się rozkrzewiły«, dał im stanowczą i ciętą odprawę.

Rozpisaliśmy się o tym, nie mającym doniośliejszego znaczenia fakcie, bo jest on charakterystycznym dla stosunków śląskich. Ruch ludowy, który jest właściwie ruchem narodowo-polskim, dopiero od kilkunastu lat we właściwym kierunku się rozwija.

Większość jego przedstawicieli — to odniemczeni Polacy, a raczej Ślązacy, mówiący po polsku. W młodszem pokoleniu jest już duch inny i świadomość większa, ale to pokolenie dopiero zaczyna działalność publiczną. Przez siedem wieków systematycznie Śląsk niemczono, proces zaś odniemczania zaczął się bardzo niedawno i zrobił niewątpliwie ogromne postępy. Ale tych postępów nie można mierzyć naszą niecierpliwością, chociażby zupełnie usprawiedliwioną. Takimi, jak są p. Strzoda i inni Ślązacy, byli patryoci czescy przed r. 1848, a dziś jak wspaniale rozwinęła się w ludzie czeskim świadomość narodowa.

Zresztą lud śląski dziś już jest bardziej polskim, niż jego przedstawiciele wychowani w czci dla wszechwładnej niemczyzny. Tych ludzi przerobić już niemożna, ale, do czasu przynajmniej, i obyć się bez nich nie można, co pisma śląskie doskonale rozumieją.

RUCH LUDOWY MAZURSKI.

„Ciężkie czasy nadchodzą dla nas Mazurów“ — pisze *Gazeta ludowa*. „Ze wszech stron spada złość konserwatystów na nas. Prawdziwymi męczennikami są ci, którzy stanęli w obronie praw braci, ci, którzy utworzyli komitet wyborczy partyi ludowej mazurskiej“.

Policya i żandarmi systematycznie prześladują członków komitetu wyborczego. Z polecenia władzy, co znaczy, potężnych w Prusiech Wschodnich konserwatystów, żandarmi odwiedzają po kolei członków komitetu wyborczego, wypytują każdego z nich: czy służył w wojsku, zapisują lie ma ziemi, czeladzi, żywiny (inwentarza) i dają do zrozumienia, że ma to związek z podwyższeniem podatków. Na ludzi niewykształconych, w których budzi się dopiero poczucie samodzielności politycznej i społecznej sprawia to przygnębiające wrażenie.

„Nas Mazurów — pisze korespondent *Gazety ludowej* — żandarm wypytuje: jakie pisma trzymamy. „A czy i polskie — pyta się, a gdy mu odpowiadamy, że właśnie trzymamy polską gazetę, tedy radzi nam, żeby trzymać niemiecką.“ Naturalnie, robią to żandarmi ostrożnie, mówiąc: „ja waści“ nie mogę zabraniać czytania polskich gazet, ale radziłbym, żebyście lepiej trzymali niemieckie“.

Gazeta ludowa nie traci jednak otuchy i coraz śmielej prowadzi agitacyę, zwracając szczególną uwagę na stronę społeczno-ekonomiczną sprawy. W artykule p. t. »Broń się gburze!« dowodzi cyframi, że Prusiech rządzi rządzi 13.000 konserwatystów większych właścicieli ziemskich, podówczas gdy chłopów — posiadaczy jest zgórą 5 milionów. Po szczegółowem wykazaniu niesprawiedliwego obciążenia podatkowego ludu, podówczas gdy konserwatyści są i pod tym względem uprzywilejowani, *Gazeta* pyta: »A my, gburzy, cóż na to? Cóż wy na to chałupnicy, rzemieślnicy i kupcy. Czyż i dalej spać będziecie? Czy powyższe liczby nie otworzyły wam oczów?

Społeczno-ekonomiczny charakter ruchu ludowego mazurskiego daje trwałą podstawę wykluwającej się dopiero świadomości narodowo-politycznej.

Z WYCHODZTWA I KOLONIJ.

GIMNAZYUM POLSKIE W CHICAGO.

Ludność polska w Stanach Zjednoczonych nie ma prawie zupełnie szkół wyższych, odpowiadających mniej więcej naszym szkołom średnim. Oprócz porządnie prowadzonego, ale bardzo skąpo uposażonego seminaryum w Detroit istnieje jeszcze, a raczej istniało kolegium polskie św. Stanisława Kostki w Chicago. Jakkolwiek w Chicago mieszka około 150.000 Polaków, szkoła nie miała ani dostatecznych środków, ani dostatecznej liczby uczniów. Była ona, jak w ogóle szkoły polskie w Ameryce, szkołą parafialną i po za obrębem parafii swojej prawie wcale nie rekrutowała uczniów. Antagonizmy parafialne i antagonizmy polityczne przeszkadzały rozwojowi szkoły, jak zaznacza jeden z jej kierowników, ks. Zębaczyński.

Obecnie z inicyatywy ks. Zębaczyńskiego i kilku innych osób ma być założone w Chicago gimnazyum polsko-katolickie. Nowa szkoła będzie samodzielną i ma się znajdować pod opieką jednej z instytucyi w starym kraju. O tę opiekę, a poniekąd i o zapomogę dla szkoły stara się właśnie obecnie ks. Zębaczyński. Oba wielkie stowarzyszenia polskie — Związek narodowy i Zjednoczenie rzymsko-katolickie — przyrzekły corocznie wypłacać szkole stały zasiłek.

W takich warunkach, pod opieką poważnej instytucyi krajowej gimnazyum pięcio-klasowe polsko-katolickie może rozwijać się pomyślnie, jeżeli znajdzie gorliwego i umiejętnego kierownika. Pożyteczności takiej szkoły dowodzić chyba nie trzeba. Chodzi teraz tylko o znalezienie instytucyi odpowiedniej w starym kraju, któraby powagą swoją gimnazyum polskie w Chicago poparła. Znalezienie takiej instytucyi nie będzie łatwem, nie jest wszakże niemożliwem. Skoro zaś gimnazyum polsko-katolickie stanie na pewnym gruncie, wtedy i środki materyalne znajdą się niechybnie i dosyć wysoka projektowana opłata szkolna (3—5 dollarów miesięcznie) będzie mogła być zniżoną.

PRZEGLĄD PRASY.

= Biskup (?) niezależny, ks. Kozłowski zamieścił w *Zgodzie* chicagoskiej list, będący odpowiedzią na podaną w nr. 20 naszego pisma wiadomość o rozmowie jego ze znanym gorliwcem prawosławnym i panslawistą, generałem Kiriejewem. Ks. Kozłowski zapewnia, że boleśnie go dotknął w komentarzu, jakim redakcya *Zgody* wzmiankę z naszego pisma opatrzyła — zarzut zdrady narodowości polskiej, ponieważ zarzut ten, jak pisze:

„uderza wprost w nasze najświętsze uczucia patryjotyczne, w nasze przekonania polityczne, w naszą wiarę, którą kierować rozpoczęliśmy pracę nad ludem, w tej myśli, iż mu w niedoli jego ulżymy, że go powiedziemy tą drogą, na której co krok spotka się ze wspomnieniami o drogiej Ojczyznie, na której co krok przypominane mu będą obowiązki względem niej.“

Przeciw zarzutowi zdrady ks. Kozłowski uroczyście protestuje i tak dalej sprawę całą objaśnia:

Wiadomości o rozmowie naszej z generałem Kirejewem podanej przez *Przegląd Wszechpolski* niezaprzeczamy. Przeczymy jednakowoż treści tejże rozmowy, zaręczając uroczyście, że o wrzekomych usługach z naszej strony dla rządu rosyjskiego mowy nie było. Treścią rozmowy naszej, która nie trwała nawet 30 minut, była jedna z encyklik Ojca św., w której tenże zaznaczył swoją dążność do pojednania wszystkich wyznań chrześcijańskich. Generał, widocznie zwolennik pojednania, oświadczył nam, że wtedy być może prędzej Polacy podaliby sobie ręce z Rosyanami. Na to odpowiedzieliśmy, iż pozostaną jeszcze tradycye oraz krzywdy narodowi naszemu wyrządzone, i dopóki te wynagrodzone nie będą — o zgodzie mowy być nie może. Taką była treść rozmowy naszej.

Wzmianka nasza była tylko streszczeniem listu generała Kiriejewa, zamieszczonego w dzienniku *Nowoje Wremia.* Od tego więc pisma, a raczej od p. Kiriejewa powinien ks. Kozłowski żądać sprostowania fałszywej czy niedokładnej wiadomości. W imię zasady *audiatur et altera pars* zamieszczamy główne ustępy z wyjaśnienia ks. Kozłowskiego, mamy jednak pewne wątpliwości, czy jest ono szczerem. Bo oto np. znajdujemy w niem następujący ustęp:

„Nie sądziliśmy, iż akt zwykłej grzeczności względem dygnitarza rosyjskiego za zdradę narodu poczytanym będzie. Wszak nawet Ojciec św. przyjmuje w Watykanie posłów Rosyi, carów, monarchów luterskiego wyznania. Każdy rozsądny człowiek nam przyzna, iż generałowi rosyjskiemu, skoro przysłał swą kartę, skoro chciał się zapoznać, trudno było drzwi zamknąć przed nosem. Przekonania i patryjotyzm swoją drogą, a reguły grzeczności, przez cały świat przyjęte — swoją.

Powoływanie się na przykład Ojca św. brzmi trochę dziwnie w ustach ks. Kozłowskiego, którego wyświęcił świeżo właśnie biskup starokatolicki. A może i ten fakt generał Kiriejew zmyślił? Przypuszczamy, że ks. Kozłowski w rozmowie nie zaszedł tak daleko, jak p. Kiriejew przedstawia, ale zapewne »reguły grzeczności«, które tak sumiennie obserwuje, popchnęły go dalej niż »przekonania i patryotyzm« pozwalają. Generał Kiriejew, pomimo swych przekonań politycznych, niewątpliwie zresztą szczerych, jest człowiekiem przyzwoitym i, o ile wiemy, w stosunku do kilku Polaków, wysłanych na Sybir po r. 1863, okazał się prawdziwym *gentlemanem* — nie sądzimy więc, żeby kłamał świadomie i przypisywał ks. Kozłowskiemu zdania, których ten wcale nie wygłaszał.

= W chwili, gdy ważą się losy floty niemieckiej, nic dziwnego, że tytularny jej admirał poczuł gwałtowną potrzebę napisania, następnie zrozumiał obowiązek ogłoszenia w *Dzienniku poznańskim* listu, pouczającego społeczeństwo polskiem jakim powinien być jego ideał etyczny i polityczny i wymownie dowodzącego, że ten ideał nie pozwala na opozycyę przeciw powiększeniu floty niemieckiej. Zacząwszy, wprawdzie nie od Adama i Ewy, ale od Reja z Nagłowic, p. Kościelski, przechodzi do rezolucyi wiecu wyborczego w Poznaniu i z góry oświadcza:

Rezolucya ta, mojem zdaniem, jest niemądra i niepolska. Że jest niemądrą, martwi mię, że jest niepolską, —boli mię, dla tego pobieżnie tylko uzasadniwszy zarzut pierwszy, zatrzymam się dłużej nad drugim.

Mniejsza o to, co martwi p. Kościelskiego, przyjrzyjmy się temu, co go boli, a boli tak silnie, że przypomina sobie Hioba i proroków i zaczyna przemawiać stylem biblijnym:

Najcięższym zarzutem, jaki rezolucyi poznańskiej z mojego punktu widzenia czynię, jest ten, iż jest ona niepolską, to jest grzeszy przeciwko duchowi narodu.

Zasada, jakoby uczciwość i sprawiedliwość wykluczonemi być winny z polityki, wynalezioną została przez ciemiężców, którzy nią nadużycia siły i powagi przed sumieniem społecznem uniewinnić pragną. Ciemiężonym, a więc słabym, pozostaje tylko jedna siła, właśnie siła sprawiedliwości i uczciwości nawet wobec ciemiężców. Ten rozum polityczny wszelkiego gnębionego społeczeństwa schodzi się u nas z duchem narodu, który zawsze się sprawiedliwością i bezstronnością wobec wrogów i słabszych odznaczał, każdemu, co mu się słusznie należało, oddając, i prawa przyrodzone zawsze we wrogach szanując. Dla tego wszystko, co od tej zasady odbiega, co namiętnościom chwilowym i choćby najbardziej uprawnionym niechęciom folgę daje, niemądrem i niepolskiem jest: odbiera nam siły i przeniewierza nas duchowi. Zasada bezwzględnej sprawiedliwości, która nie tylko jest zdobyczą naszego ducha w przeszłości, ale winna pozostać wytyczną naszego dziejowego posłannictwa na przyszłość, jest owym ewangelicznym talentem, którego nam ani zakopać, ani roztrwonić nie wolno. Kto chwilowej nienawiści gwoli drogi ducha wykrzywia, ten jest może człowiekiem do pewnego stopnia na usprawiedliwienie zasługującym, ale Polakiem nie jest, i duch narodu wyprzeć się go musi. Jeżeli wróg twój łaknie tego, co mu się należy, daj mu. Chce li za wiele, możesz mu odmówić, ale odmów mu dla tego, że chce za wiele, a nie dla tego, że jest ci wrogiem.

Wzgląd na obciążenie nadmierne podatkami jest argumentem, używanym li w celu otumanienia maluczkich i niejasnych. (?) Bogaty dziedzic Miłosławia i zięć p. Blocha gardzi mamoną.

„Bo ty nie na tym trojaku, którego i tak uronisz oprzesz przyszłość narodu, ale na niewzruszonem trwaniu przy prawdach jego, które przetrwają dzisiejszy Twój upadek. Bo trojak ten wspólny wszystkim jest, a prawda Twoja Twoją jest, i im bardziej jej inni przeczą, tem silniejsze Ty jej dawaj świadectwo. Bo nie co innego jeno prawda Twoja wyróżnia Cię przed innymi i daje Ci tę odrębną cechę, którą tak zachować pragniesz. Bo ani ten trojak, ani czapka rogata nie sprawia, że innym jesteś, ale duch Twój to sprawia, więc przed każdym krokiem pytaj ducha, żali on jest na tej drodze.

Na tę elukubracyę biblijną odpowiada p. Kościelskiemu „jeden ze starszych polityków«, w następujący sposób:

Pan Kościelski rezolucyą, oświadczającą się przeciw postulatom marynarskim, potępia jako nieszlachetną i dla tego niepolską, bo sprzeciwiającą się interesom i rozwojowi przemysłu i handlu niemieckiego, państwa, którego i my jesteśmy obywatelami i dobra którego bronić jesteśmy obowiązani. Dziwny to koziołek, jaki logika p. Kościelskiego w jednostronnem zacietrzewieniu jego politycznem wywraca. Prawda, że pp. Stumm, Wöhrmann, Krupp i cały szereg przemysłowców milionowych, a nawiasem mówiąc, zwolenników hakatyzmu, niedawno w Berlinie rezolucyą w tym sensie uchwalali. Ale p Kościelskiemu podobno lepiej, jak komubądź z pomiędzy nas wiadomem jest, zkąd wzięła początek czy to akcya ku pomnożeniu wojska, czy marynarki, nie od dzisiaj poruszana w drodze prawodawczej.

I w wielkiej części społeczeństwa niemieckiego i naszego niewzruszonem jest to przekonanie, że nieustające mnożenie sił zbrojnych na lądzie i na morzu nie jest wynikiem żadnej potrzeby, ale raczej ducha szowinistycznego, dążącego do coraz nowych zaborów i zdobycia przewagi wszechświatowej. Ażeby taki cel nosił na sobie piętno szlachetności, pociągającej do poświęcenia chociażby i drobnego grosza, a co więcej własnego idealnego interesu, dla tego wywody, chociażby jeszcze huczniejszym wygłoszone stylem i powoływanie się na powagę Reja z Nagłowic, który, gdyby żył jeszcze, bodajby się do tego przychylił, nie nakłonią zapewne nikogo. Pan Kościelski swego czasu niejednokrotnie dawał się słyszeć z przepowiednią, że akcya komisyi kolonizacyjnej niezadługo kresu dobiegnie. Tymczasem dni ostatnie na zapowiedź tę dały odpowiedź, aż nadto wymowną.

Czy by to należało także do programu p. K. ażebyśmy, uwzględniając tak szlachetne, choć dotkliwe i gorzkie dla nas cele państwowe, poświęcali interes własny i dawali grosz i przyzwolenie nasze na tę imprezę? Wszakżeż niezadługo p. K. jako członek izby panów będzie miał sposobność spotkania się z tym projektem prawodawczym, niechajby uczynił propozycyę, ażeby nowe sto milionów przeznaczone na kolonizacyę, użyto na pomnożenie marynarki, a prawie bym jego i rząd królewski mógł zapewnić, że ani ze strony społeczeństwa polskiego, ani Koła sejwowego lub parlamentarnego nie dozna oporu.

= Po oświadczeniu p. Cegielskiego, że zrzeka się mandatu, *Dziennik poznański*, który z początku uchwały zebrania poznańskiego wyraźnie potępiał — zaznaczył:

„Dla Poznania nie jest to wcale zaszczytem, że męża takiego doprowadzić pozwolił do rozgoryczenia.

Życzymy jednak wyborcom okręgu poznańskiego, żeby między wielu kandydatami na mandat poznański, znaleźli męża tej miary i powagi, co szamb. Cegielski, wobec którego nareszcie powinni zrozumieć, że my w Berlinie prowadzić możemy tylko politykę posłów a nie politykę wyborców, że nam potrzeba posłów samodzielnych, a nie ludzi rządzących się raz taką raz owaką uchwałą walnych zebrań wyborczych (?)

„Krzywda się stała szambelanowi Cegielskiemu, a z nim wszystkim ludziom politycznego znaczenia.

Jednocześnie *Dziennik* zaczął drukować różne »poważne« chociaż bezimienne głosy, potępiające samodzielne wystąpienie wyborców.

Jeden z uczestników zebrania nadesłał do *Gońca wielkopolskiego* list w tej sprawie, w którym czytamy:

„Co sądzić należy o *Dz. Pozn.* i jego naczelnym redaktorze, który na zebraniu wyborczem rękę za uchwaleniem rezolucyi podniósł, więc na nią się zgodził i nic przeciwko niej nie miał, a teraz łzy krokodyle przelewa nad ustąpieniem p. C. i łaje rodaków „na polu sztuki politycznej pierwsze stawiających kroki?“ — Czyż szef *Dziennika Pozn.* nie byłby daleko lepiej zrobił, gdyby, zażądawszy głosu, sam był wystąpił przeciw rezolucyi, a zgromadzonym wyborcom był dał jaką lekcyę polityczną przed czasem — zamiast ich łajać *post festum*?

„Czyż dziennikarz, który drugich politycznie chce kształcić, może kilkorakie mieć zdanie, inne na zebraniu, inne w dwa dni po niem, a jeszcze inne po tygodniu? Wprawdzie nie na darmo „mądry Polak po szkodzie“ — a pan Stefan Cegielski jest akcyonaryuszem *Dziennika Pozn.*, więc *Dziennikowi* inaczej mówić „nie wypada“, ale zawsze dobrze to zaznaczyć“...

= *Dziennik poznański* zamieścił niedawno artykuł p. t. »Chiny polskie«, w którym znajdują się takie np. zdania:

„Przestrzegamy, że przy całej dobroduszności i prawdziwie chińskim spokoju, charakteryzującym masy nasze, i te „Chiny polskie“ się nareszcie poruszyć mogą, a wtedy w ostatecznym rezultacie wiecznych podszczuwań i nękań pokazaćby się mogły i u nas irlandzkie stosunki w poprawnem wydaniu.“

Gazeta grudziądzka, przytoczywszy powyższy wyjątek z artykułu, pisze:

„Nie wiemy, zkąd się *Dziennikowi* wzięło popisywać się z takiemi ciętymi i niedorzecznymi frazesami, boć *Dziennik* przecież za każdym razem zawzięcie występował przeciwko pismom ludowym, skoro tylko goręcej się odzywały w obronie ludu polskiego“

Istotnie w piśmie ultraugodowem i przy każdej sposobności rozprawiającem o takcie politycznym, tego rodzaju zdania są, co najmniej, dziwne, i o konsekwencyi politycznej nie świadczą. Z drugiej strony jednak, prasa ludowa nie ma słuszności, potępiając *Dziennik* za wygłaszanie zdań podobnych i dowodząc, że ubliżają one ludowi naszemu, który

nietylko jest polskim, ale też szczerze katolickim; jego religijność i rozumność nie pozwala na to, aby jak lud irlandzki chwytał za nóż, aby rzucał bomby i mordował tych, którzy się nad nim znęcają.

Lud irlandzki jest również szczerze katolickim i bodaj pobożniejszym od naszego. Wojowanie pogróżkami nie jest właściwem, ale i protestowanie przeciw temu, »żeby u nas mogły kiedykolwiek wytworzyć się stosunki, jakie panują w Irlandyi« nie jest potrzebnem. W polityce niczego nie można zarzekać się lub wyrzekać.

Z OBCEGO ŚWIATA.

TAJEMNICA SPRAWY DREYFUSA.

Sprawa Dreyfusa, która gorączkuje obecnie całą Francyę, z wielu względów zasługuje na uwagę, zwłaszcza zaś z tego, że dowodnie świadczy o zuchwalstwie i potężnej organizacyi międzynarodowej solidarności żydowskiej. Ale ta strona sprawy Dreyfusa, jakkolwiek ważna i ciekawa, nie może być oświetloną dokładnie w naszem piśmie. Natomiast chcemy zwrócić uwagę na jeden szczegół, dotychczas niewyjaśniony dostatecznie.

Przypuszczano powszechnie, że rząd francuski nie zgadza się obecnie na rewizyę procesu, jak nie chciał poprzednio zgodzić się na jawność postępowania sądowego — ze względu na drażliwość rządu niemieckiego, który jakoby nabywał od Dreyfusa plany. Krążyła nawet legenda o skradzeniu w ambasadzie niemieckiej dowodów zdrady.

Tymczasem teraz w kilku pismach, mających dobre informacye o sprawie, zjawia się wiadomość, że Dreyfus sprzedał tajemnice wojskowe — rządowi rosyjskiemu. To tłómaczy i dyskrecyę rządu francuskiego i zuchwałą natarczywość rodziny Dreyfusa w domaganiu się rewizyi procesu. Jakkolwiek z prawnego punktu widzenia Dreyfus i w tym wypadku był zdrajcą, bo kodeks nie odróżnia wydawania tajemnic mocarstwu sprzymierzonemu od zdradzania ich rządowi nieprzyjaznemu, jednakże opinia publiczna bezwątpienia pobłażliwiej oceniła by jego postępowanie, gdyby się ta okoliczność wyjaśniła.

Ale natomiast ta opinia oburzyła by się na przewrotnego sprzymierzeńca, który, nie poprzestając na udzielonych mu poufnie wiadomościach i objaśnieniach, szpieguje tajemnice wojskowe Francyi za pomocą przekupionych zdrajców. Tego właśnie rząd republikański się obawia i przystać nie chce na rewizyę procesu i opublikowanie szczegółów sprawy.

Prawdopodobnie odwołanie przed paru miesiącami posła rosyjskiego, barona Mohrenheima stało w związku ze sprawą Dreyfusa. Gabinet petersburski, przewidując możliwość wyciągnięcia na światło dzienne faktu, ukrywanego dotychczas za zgodą obu »zaprzyjaźnionych rządów, usunął winowajcę, na którego w razie potrzeby spadnie cała odpowiedzialność.

Wobec stanowczego oświadczenia sekretarza stanu Bülowa w parlamencie Rzeszy, że rząd niemiecki nie ma nic wspólnego ze sprawą Dreyfusa, Zola zrzeka się przesłuchania jako świadków członków ambasady niemieckiej, natomiast żąda podobno, żeby wezwano na świadków urzędników ambasady rosyjskiej.

KRONIKA.

= W Kurytybie ma się odbyć w d. 3. maja walny zjazd czyli sejm Polaków brazylijskich, którego głównem zadaniem będzie zorganizowanie związku towarzystw polskich.

= W Kirchlinde (Westfalia) komisarz policyjny rewidował książki w czytelniach obu tam istniejących towarzystw polskich szukając dziełka p. t. „Dzieje narodu polskiego". „Rodacy — pisze z tego powodu *Wiarus* — zauważcie jak drogocenne są dla nas książki i wszelkie pisma polskie.

= Na wyspach Sandwich (Hawai) przebywa kilkuset Polaków, są to przeważnie robotnicy, pracujący na plantacyach i w fabrykach cukru na wyspach Onomeo i Popajkon.

= *Gazeta toruńska* pisze: „Donoszą nam z Berlina o zamierzonem wyniesieniu ks. arcybiskupa Stablewskiego do godności kardynalskiej, co dawno by nastąpiło gdyby nie opór rządu pruskiego". Ta wiadomość dostatecznie tłómaczy dla czego ks. Stablewski usilnie pracował nad tem, żeby Koło polskie głosowało za powiększeniem wydatków na flotę niemiecką.

= C. k. główne biuro statystyczne we Wiedniu obliczyło, że w końcu 1896 r. Galicya miała 6,951.000 ludności, w tej liczbie Polaków 3,715.000, Śląsk austryacki — 625.000 mieszkańców, w tej liczbie Polaków 185.000. Polaków w Przedlitawii było wogóle 3,944.700.

= Rząd pruski zamierza zakładać w ziemiach polskich niemieckie czytelnie ludowe. Naczelni prezesi prowincyi wschodnich otrzymać mają niezwłocznie na ten cel odpowiednie środki.

= P. Gierasimow, naczelnik jednego z powiatów w gubernii lubelskiej, wydał okólnik do wójtów gmin, nakazujący sporządzenie listy kobiet, które odbyły połóg w październiku, listopadzie i grudniu r. z. lub spodziewają się słabości w styczniu i lutym r. b. ponieważ z pomiędzy nich wybrana będzie mamka dla oczekiwanego potomka pani gubernatorowej!

= Pułkownik Z Miłkowski oddał od Nowego Roku redakcyę *Wolnego Polskiego Słowa* p. Stanisławowi Kośmińskiemu, ale zasilać będzie nadal organ wychodztwa swoimi artykułami.

= Donoszą nam, że w grudniu r. z. aresztowano na stacyi Granica p. Mikulińską, obywatelką ziemską z Królestwa, mieszkającą od lat kilku w Zakopanem ze względu na zdrowie syna. Powodem aresztowania p. Mikulińskiej było znalezienie przy niej podczas rewizyi osobistej kilku egzemplarzy pism galicyjskich. Z tego błahego powodu aresztowano i osadzono w cytadeli nietylko ją, ale i chorego chłopca.

= Wypuszczony przed kilkoma miesiącami z cytadeli warszawskiej p. Jarosław Rozwoda zamieszcza obecnie w czeskiem piśmie *Samostatnost'* bardzo ciekawe wspomnienia, p. t. *Vzpominky z meho života w ruskych viezenich.*

= Socyalistyczny poseł Lütgenau, skazany na kilka miesięcy więzienia za wykroczenie prasowe chciał dla rozrywki nauczyć się po polsku, ale po pewnym czasie władza więzienna pruska odebrała mu książki polskie.

= W Przemyślu z powodu rozwiązania zebrania socyalistycznego były zaburzenia, podczas których aresztowano z górą 100 osób. Poseł Kozakiewicz, jak piszą dzienniki, musiał uciekać z Przemyśla przebrany za żyda.

= W obwodzie przemysłowym westfalsko-nadreńskim na 975.000 ludności przypada 97.000 Polaków. W powiatach Gelsenkirchen i Recklinghausen stanowią Polacy 20% ludności, w powiecie bochumskim wiejskim 10½%. Z tych 97.000 około 3.000 wraca co roku na zimę do kraju.

= Ks. Stojałowski za pośrednictwem adjutanta swego posła Szajera nakazał wyborcom, żeby mieli w zapasie kredę do znaczenia głosujących na przeciwnego kandydata i kije do karania „przeniewierców". Najemni siepacze ciężko pobili socyalistę p. Schiflera i podstępnie napadli na posła Winkowskiego i p. Stapińskiego.

= *Politische Correspondenz* zaprzecza stanowczo podanej przez *Kraj* i *Czas* wiadomości o mianowaniu ks. Simona biskupem odeskim, natomiast zapewnia, że Watykan, nie chcąc zrywać stosunków przyjaznych z Rosyą, zgodzi się w końcu na mianowanie innego księdza biskupem płockim.

= Korespondent *Nowej Reformy* pisze, że prospekt i pierwsze numery ugodowego *Kuryera Polskiego* rozsyłano po wsiach za pośrednictwem wójtów i sołtysów.

= Najwyższy trybunał administracyjny potwierdził wyrok skazujący ks. Laskowskiego z Wielenia na karę administracyjną za udzielanie dzieciom nauki języka polskiego. Na żądanie władzy świeckiej arcybiskup Stablewski przeniósł ks. Laskowskiego z Wielenia do Ostrzeszowa.

Składki.

Na pomoc naukową dla dotkniętej wyrokiem młodzieży warszawskiej nadesłali.

Inż. Jan Szaflarski z Nowego Sącza 1 złr.

Ze składki w Zakopanem 73 złr.

Studenci polscy w Mithweidzie 50 marek=29 złr. 40 ct.

Na tenże sam cel otrzymaliśmy kwotę 165 zł. 50 ct. z listem następującym:

„Na wezwanie Nauczyciela" w mrze *Przeglądu Wszechpolskiego* z d. 1 grudnia ub. roku, urzędnicy prywatni hr. Z. w Z. postanowili zebrać składkę na pomoc dla ofiar dotkniętych ostracyzmem władzy uniwersyteckiej w Warszawie. Wyrażając ogółowi młodzieży warszawskiej cześć i uznanie, na jakie zasłużyła sobie ostatnią demonstracyą, prosimy Szanowną Redakcyę o udzielenie składki naszej w formie pożyczki bezprocentowej — jednemu z młodzieńców, którzy zmuszeni będą szukać wiedzy poza kordonem rosyjskim. Kładziemy jednak moralne zobowiązanie na owego młodzieńca, aby po ukończeniu studyów w przeciągu lat trzech razem lub częściowo zwrócił te pieniądze do Zarządu Muzeum Narodowego w Rapperswylu, aby zasiłek ten w podobnej formie mógł być udzielony innemu młodzieńcowi".

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **dr. Ernest Adam.**